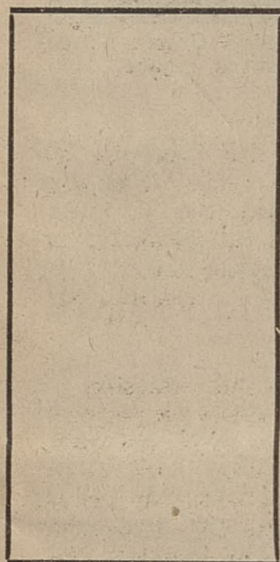
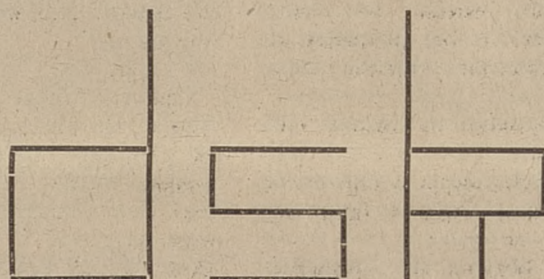
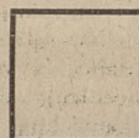
Miesięcznie 1 zł
Prenumeratę przyjmuje każda poczta

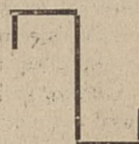
1 egz. 30 groszy

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok V — *Niedziela, dnia 19 grudnia 1937 r.* — Nr. 51



Uciekłam
do białego raju z codziennego piekła.
Góry odgrodziły od zła. Góry piękne jak żywy, propagandowy afisz.
Wszystko przy nich: zazdrość, żądza — małe, blade.
Cukrem śniegu przysypane ślady — nie trafisz...
Samotność chodzi za mną troskliwie, łagodnie;
Tłumaczy: jest tak cudnie, otrzyj łzy, przechodniu...
Godziny są białe i złote. Powietrze jak lemoniada.
Dzień — jak wspaniała, na lśniącym obrusie, biesiada.
Noc spada nagle — zimna, z niebieskiej emalii pokrywa.
Pilnują snu świerki w puszystych grzywach.
Hardo podnoszę głowę...
Stanęłam na skoczni...
Jest szeroko i jasno — było ciasno i mrocznie.
Zaczarowane deski jesionowe
Poniosły mnie szklistą trasą!
Pocięłam nimi smutek na szafirowe pasy!
Zmyliłam drogę żalom. Nie tęsknię choć cię tu nie ma.
Nie trzeba prosić: nie dręcz, nie kłam.
Ważniejsze teraz: chrystjania i udany telemark.
Uciekłam.

J. K.





Argonauta w Chicago

POWIEŚĆ

Rozdział I.

UŚMIECHNIĘTY JAZ

Od jeziora Michigan dął lekki, ciepły wiatr. Wspaniały budynek Railroad Station przy Vau Buren Street aż wrzał, niby ul, nawiedzony przez intruza. Co chwila długi wąż taksówek przy Montroe Street zmniejszał się o jedną, dwie. Szybciej! Tempo! „Dolara ponad kurs, wykazany prze licznik — jeżeli zdążę na pierwszą do..." Time is money! Szczególnie tu, w Chicago, mieście bussinessu i przestępstwa. Ludzie, poprzedzeni przez tragarzy, spieszyli się, nie mieli czasu, nawoływali gorączkowo, witali się mimochodem, aby zbyć. Dokąd? Widocznie mają powody.

Takie były myśli człowieka z raglanem przewieszonym przez ramię i w szerokim sombrero, który stał zboku oparty o ławkę, obok automatu z papierosami. Właśnie przed chwilą i on wysiadł z klewelandzkiego pociągu wraz z innymi. Ale jemu się nie spieszyło. Powinienby być wściekły — był jednak urodzonym optymistą i nie umiał patrzyć na świat inaczej, jak z szerokim uśmiechem pogody ducha, choć doprawdy, w tej chwili nie znalazłby ani jednego powodu, jaki uzasadniłby mógł tak zwany dobry humor. I nie szukał takiego powodu — po co?

Wysoki, barczysty, zgrabny, doskonale zbudowany, o ogorzałej, spalonej wiatrami, słońcem i wodą twarzy — Jazon Kent wyglądał na dwudziestopięcioletniego młodzieńca — tymbardziej, że jego radosny uśmiech i niebieskie oczy przypominały obserwującym zawsze coś z dziecka. Z urwisa, gotowego w każdej chwili spłatać ci figla, napsocić i potem śmiać się, głośno, z premedytacją, a raczej z dziwacznego impulsu wewnętrznego.

Albowiem nikt tak nie kochał śmiechu, jak Jazon Kent. A przecież miał już lat trzydzieści sześć, życie jego nie obracało się na kulkowych łożyskach dobrobytu, niejedno przecierpiał i nie raz znajdował się w sytuacji, która załamałaby każdy inny słaby charakter — ale nie ducha Jazona Kenta. I co było najdziwniejsze — nikt, nigdy nie słyszał, aby Jazon Kent śmiał się na głos. Czynił to w duchu, rzekłbyś: filozoficznie.

Railroad Station przy Van Buren Street wrzał, niczym ul nawiedzony przez intruza. On właśnie, Jaz, czuł się jak ten intruz — bo przecież w różnych już znajdował się tarapatach — lecz nigdy w takim położeniu jak obecne.

Milionowe miasto przestępstwa i bussinessu-Chicago. Czy bussiness nie jest swego rodzaju przestępstwem, lub czy przestępstwo, przynajmniej niektóre jego rodzaje — aż do złudzenia nie przypominają bussinessu? Mniejsza o to. Najważniejszym jest przygniatający fakt — Jazon Kent widział, że nie ma przy sobie pieniędzy. Przecież te pięć dolarów, jakie mu jeszcze pozostały po zapłaceniu za bilety do Chicago — nic nie mogły oznaczać. Przeciwnie, to jeszcze gorzej niż nic, — to jest tło ubóstwa.

Nie dziwił się więc wcale swojej na pozór absurdalnej myśli, jaka nawiedziła go nagle — wyrzucić tę srebrną monetę, oddać i zostawić bez głupiego złudzenia posiadania pieniędzy, które nimi nie są. Przede wszystkim tu, w obcym mieście, dla przyjezdnego, czyli objektu, z którego zdziera się już nieomal zawodowo, bez wyrzutów sumienia. Wyrzuty sumienia, co za nieuchwytne pojęcie...

Odwrócił się leniwie i spojrzał w błyszczące gałki oczne Halleta, murzyna, dawnego lokaja, obecnie dobrowolnego towarzysza niedoli i przyjaciela. Przed wyjazdem z New Yorku Jazon wyraźnie zaproponował mu zwolnienie, gdyż nie miał już czym opłacać usług — ale Clifford Hallet, murzyn z plemienia Dianga, umarłby raczej, niż opuściłby w nieszczęściu kapitana Jazona Kenta. Dobroczyńcę, który ocalił mu życie dwukrotnie, nauczył go zachodnich manier i pokazał mu świat, jakiego nie ujrzał nikt inny z plemienia Dianga.

— Dokąd, panie kapitanie.

— Nie wiem, Cliff. Jesteśmy bez pieniędzy. W cywilnym świecie bez pieniędzy nie można nawet przyzwoicie popełnić samobójstwa.

Ujrzał błysk niepokoju na twarzy Cliffa i uspokoił go.

— Nie sądzisz chyba, że ja o tym myślę, pomimo, że cały mój majątek finansowy koncentruje się — w tym.

Uśmiechnął się oczyma i podrzucił wgórę monetę pięcio-dolarową.

— Mamy dużo drogich rzeczy w kufrach. Możemy coś sprzedać, zastawić!

Jezon potrząsnął głową.

— To jest polityka na krótką metę, Cliff i o tym nie masz co myśleć. Lepiej głodować i niejadać i być dobrze ubrany, ogolony i ostrzyżony — niż być syty i chodzić w łachmanach.

— To się tylko tak mówi, captain.

— Ja chcę tak robić. Nie! Przyjechałem do Chicago, bo mam nadzieję — głupie słowo! — otrzymać posadę u La Salle'a. Muszę wyglądać jak książę i udawać, że mi na niej nie zależy. Inaczej nic z tego.

— Przecież może pan pójść do nich w jednym z sześciu garniturów, a siódmy, smoking sprzedać. Oni nawet nie wiedzą, ile ich pan ma. Naco potrzebny jest frak człowiekowi, który nie ma pieniędzy.

— Nie, Cliff, ty tego nigdy nie zrozumiesz — że frak jest najbardziej potrzebny osobnikowi bez pieniędzy. Milioner może się bez niego obyć. Ja...

Urwał i resztę dopowiedział sobie w myśli. Spojrzał na wielki zegar w hallu. Pierwsza. W sam raz. Teraz — albo nigdy. Obejrzał dokładnie swój elegancki strój, poprawił cudownie zawiązany krawat, posługując się kieszonkowym lusterkiem wypukłym, strzepnął drobny pyłek z lewej klapy i odwrócił się stanowczo.

— Na chotel, ani na przechowalnię nie mamy pieniędzy. Zostaniesz więc tu, obok kufrów i będziesz udawał, że czekasz na pociąg, gdyby cię służba dworcowa lub policjant o to pytał. Idź, zmień tę monetę, weź sobie dolara i zjedz coś. Ją tu poczekam, ale nie dłużej, niż kwadrans. Jeżeli nię przyjdziesz, zostawię walizy i idę do banku. Nie wolno mi zaniedbać jedynej szansy.

— Yes, sir.

Clifford Hallet może nie wszystko rozumiał, ale wiedział, że gdyby nie przyszedł za piętnaście minut, Jaz Kent zostawiłby własne walizy i poszedłby, gdzie zamierzał. Znał dobrze swego pana. Odwrócił się więc na pięcie i odszedł bez zbytecznych słów. Wrócił po czternastu minutach jeszcze z kanapką chleba w ręce.

— Oto cztery dolary. Przyniosłem panu kanapkę, kapitanie.

— Dziękuję, Cliff. Nie jestem jeszcze głodny. Czekaj więc tu. Wrócę za jakąś godzinę z posadą i pieniędzmi — albo z niczym. Wtedy zaczniemy może martwić się.

Taki już był. Nie umiał się martwić. Przyjechał do Chicago naprawdę do wypróbowania ostatniej szansy. Urodzony w Kanadzie, syn bogatych rodziców, Jazon Kent, pomimo wczesnej śmierci swej matki, aż do dwudziestego szóstego roku życia, nie wiedział co to bieda. Podróżował, skończył szkołę morską, bawił się, flirtował i śmiał się. Śmiał się od pierwszego dnia swoich urodzin. Miał optymizm we krwi. Gdy w trzydziestym roku życia fabryka ojca spłonęła i Emerson Kent zginął tragiczną śmiercią — syn jego musiał pomyśleć o swoim samodzielnym życiu, bo fabryka była nieubezpieczona i pieniędzy nie było.

Minął okres żałoby i Jazon Kent musiał rozejrzeć się w swym położeniu. Nie przejmował się. Zaciągnął się do marynarki handlowej jako kapitan, stare znajomości jeszcze nie zupełnie wystygły. Pracował uczciwie, powędrował w świat, aż kochana „Rosemary Winthrop" pękła ze starości u brzegów Borneo. Stracił stanowisko. — Oszczędności pochłonęła podróż do New Yorku, gdzie nikt już o nim nie pamiętał. I czasy się zmieniły. Zaczęła się bie-



8 grudnia br. król szwedzki Gustaw V. obchodził 30-lecie swych rządów.

ganina po biurach, urzędach, ludziach — nic. Bezrobocie, kryzys zaufania, dwa miliony dyplomów niewartych papieru, na jakim je wydrukowano, ani starań z jakimi je osiągnięto. Nie mamy, nie skorzystamy, przepraszamy, dziękujemy, nie będziemy panu zabierać czasu. Time is money.

Ameryka, kraina humbugu, szalonego tempa, zawrotnych karier i upadków w bagno otchłani. Cóż znaczył jeden tam Jazon Kent wobec dwóch milionów innych Pyłek, zero, nic. Lecz nie stracił ducha. Pracował dorywczo i wszystko wydawał na marki pocztowe. Wreszcie doczekał się odpowiedzi z Chicago: Ewentualnie, reflektowalibyśmy... musimy jednak zobaczyć pana osobiście, zbadać na miejscu Jego kwalifikacje.

Wydał więc ostatnie pieniądze na bilety i transport bagażów. Albowiem nawet w najbardziej trudnej sytuacji wyglądał Jazon istotnie jak lord. Stroje i drobiazgi odziedziczył z dawnych dobrych czasów i nie wyzbył się ich do dziś. Dlatego nikt nie poznałby w spacerującym w tej chwili po Board of Trade mężczyźnie — człowieka, który miał w kieszeni cztery dolary drobnymi. Wyglądał raczej jak milioner, który dla kaprysu zrezygnował z Rollsa.

Uśmiechnął się do przechodzących mężczyzn i kobiet. Wyglądał przystojnie i zdawał sobie z tego sprawę. Nie odczuwał niepokoju. Posada — i na tym nie zamierzał w duchu zatrzymać się zbyt długo. Tylko, aby na razie żyć. Potem, już jakoś zobaczymy, rozejrzymy się. Trudno jest jednak układać plany życiowe bez dachu nad głową — a ta ewentualność groziła Jazowi jeżeli teraz, już dziś, nie załatwi sprawy u La Salle'a.

Namacał kopertę z korespondencją. Nie układał sobie bynajmniej zdań oczekującej go, decydującej rozmowy. Wiedział, że w koniecznym momencie zachowa się odpowiednio. Przejrzał tylko dla orientacji: „Moglibyśmy ofiarować WPanu trzysta dolarów miesięcznie o ile przekonamy się, że istotnie Pańskie usługi mogą być tyle warte. Na razie zawarlibyśmy kontrakt próbny na dwa miesiące".

Niech będzie próbny. Zatrzymał się przed ogromnym czterdziestopiętrowym gmachem z białego marmuru i czerwonego granitu. La Salle — Wacker Building. Na rogu kupił paczkę najdroższych papierosów za połowę swego majątku, to jest za dwa dolary.

Przez wahadłowe drzwi do hallu, winda, drugi hall na osiemnastym piętrze. Wręczył wizytówkę i polecił zameldować się dyrektorowi personalnemu, mr. Sedgwickomi. Umundurowany woźny nie wiedział oczywiście, że ten elegancki pan, to bezrobotny „pracownik umysłowy", proszący o posadę. Zaprowadził go do salonu i wskazał uprzejmie fotel, za co otrzymał pół dolara, bo ta moneta pierwsza wpadła w palec Jaza, gdy sięgnął niedbale do kieszeni. I niedbalstwo to nie było wcale udane.

W każdym razie pozostało już tylko półtora dolara.

— Może podać panu jakieś pisma. Trzeba będzie trochę zaczekać — wyjaśnił zachwycony i szczery woźny.

— Bardzo proszę. Macie może humorystyczne.



— Oto „Panch", sir.

Jaz zapalił, rozparł się wygodnie i uśmiechnął się wesoło na widok pierwszej karykatury Toma Webstera, zatytułowanej „pechowy samobójca". I byłby się śmiał tak samo beztrosko, gdyby nawet już teraz wiedział, że w gabinecie dyrektora Sedgwicka czeka na niego chłodna, zdecydowana odpowiedź: „Nie!"

Rozdział II.

EKSCENTRYCZNY JAZ

Przejrzał tygodnik i zapalił nowego papierosa, gdy zauważył, że nie jest sam. Naprzeciw niego siedziały już dwie osoby. Weszły widocznie cicho, czy też on był zaczytany w ulubionej lekturze, dość, że dostrzegł dopiero teraz młodą kobietę w szarym, obcisłym kostiumie i siedzącego obok niej młodzieńca ze skromnie złożonymi kolanami. Jazowi przyszło na myśl, że są to również interesanci „reflektujący na posadę w biurze WPanów". Nie zmartwiło go to wcale, przeciwnie — przyjrzał się z humorem niebrzydkiej niewieście.

Kobiety interesowały go zawsze, to jasne, wszelako nie przywiązywał do nich specjalnie dużej wagi i dotąd jeszcze nie przeżył owego niebezpiecznego okresu w życiu mężczyzny, kiedy kobieta jest alfą i omegą, centrum jego zainteresowań życiowych. Ot, ocierał się o nie na drodze swego życia, bo przecież musiał.

Obserwowana uśmiechnęła się miło i Jaz podniósł brwi ze zdziwieniem, gdy wysokie, uszczelnione drzwi otworzyły się i chudy sekretarz, czy inaczej nazwana kreatura oznajmił trochę może za głośno:

— Pan kapitan Jazon Kent, proszę.

No, i cały fason, oczekiwanie, najdroższe papierosy, którymi Jaz poczęstował eleganckiego dyrektora (po to je kupił — bo sam palił chętniej fajkę) — wszystko to okazało się najzupełniej zbyteczne.

— Bardzo nam przykro, kapitanie Kent — rzekł mr. Sedgwick, po wymianie idiotycznych banałów wstępnych na temat pogody, embargo na naftę, kursu dolara — posada na którą pan reflektował, jest już nieaktualna.

— Ach! — uśmiechnął się obieżyświat, jak by usłyszał mało znaczącą wiadomość, na przykład, że trzecia córka księcia Gloucester powiła bliźnięta. — Szkoda.

— Istotnie — przyznał mr. Sedgwick, nie siląc się nawet na sztuczny żal. — Istotnie...

— Czyli nie mam zajmować już panu cennego czasu — zrozumiał Jazo dobrze i wstał. — Słusznie. Do widzenia, mr. Sedgwick. Jak pańskie zdrowie?

— Dziękuję. Ostatnio znów trochę niedomagam z wątr...

Ugryzł się w język, a Jazon Kent śmiał się potem ze swego kawału przez całą drogę do dworca na Van Buren Street. Widok Cliffa obok kufrów przywrócił mu świadomość okropnej sytuacji — lecz nie przejęło go to ani trochę.

— Otrzymał pan? — zwiodły Murzyna uśmiechnięte oczy.

— Skąd? Wręcz przeciwnie: Ani posady, ani forsy.

— Co zrobimy?

— Teraz już coś ekscentrycznego, bo prostej drogi nie widzę. Nie mogę nocować na dworcu i umierać z głodu o trzeciej po południu w biały dzień.

— Nie rozumiem. Cóż innego nam pozostaje. Może pan znów pójdzie do konsulatu angielskiego.

— Wiesz, Cliff, że wyczerpałem już wszystkie środki normalne. Konsulat odmówi zupełnie słusznie. Gdyby mieli dawać zapomogę każdemu petentowi angielskiego pochodzenia, zbankrutowaliby, a tego nie mogę od nich wymagać jako dobry patriota. Zresztą, kto wierzy moim słowom! Już tak głupio jest urządzony ten światek, że gdy uchodzić za biednego, trzeba koniecznie być brudny, nieestetyczny i anemiczny.

— Wobec tego?

— Zaraz się przekonasz.

Jedną z największych zalet charakteru Jazona Kenta oprócz optymizmu, była szybkość myślenia z niego wynikająca. Kapitan Kent umiał myśleć tak błyskawicznie prędko, że często uchodził za bezmyślnego. Teraz zdecydował się niemal jak w natchnieniu.

— Idź tam — wskazał na rząd taksówek obok Art Institute — i wybierz najładniejszą.

— Dostał pan pieniądze — uradował się Cliff.

— Przestań nudzić. Cały mój majątek wynosi okrągło jeden dolar, pięćdziesiąt centów.

— No, to jak...

— Masz słuchać, Cliff — wyjaśnił Jaz spokojnie. — Ja myślę za ciebie. Jeżeli mi nie ufasz, zwalniam cię w każdej chwili.

Murzyn już nie dyskutował i zajechał po chwili na stopniu ładnego Chenarda.



Goal! Próżny był wysiłek angielskiego bramkarza podczas meczu Anglia — Czechosłowacja. (Wynik meczu 5:4 dla Anglii.)

Jaz przystąpił do szofera, który ukłonił mu się z szacunkiem, widząc kufry i eleganckiego właściciela. Jakżeby się inaczej zachował, gdyby wiedział, że wytworny lord nie ma na zapłacenie kursu.

— Jestem tu obcy. Jaki jest najwięcej elegancki i komfortowy hotel w waszym mieście?

— Stevens Hotel, sir.

— Well. Proszę pomóc mojemu służącemu załadować walizy i jechać do Stevens Hotelu.

— Yes, sir.

Po piętnastu minutach już wysiadał pod wspaniałym portalem. Portier i dwaj chłopcy wyskoczyli, aby zabrać walizy z samochodu. Jaz rzucił Cliffowi ostre, wymowne spojrzenie z rozkazem milczenia i stanął przed przedziałem głównego portiera.

— Jestem kapitan Jazon Kent. Zamówiłem wczoraj telegraficznie duży apartament z łazienką.

Portier skłonił się powtórnie i przejrzał książkę zamówień.

— Niestety, sir — nie widzę tu pańskiej depeszy. Musiała się gdzieś zapodziać i dlatego...

Twarz Jazona pozostała kamiennie nieruchoma. Rozpoczął wielką, ryzykowną grę i nie miał zamiaru jej ani przegrać, ani przerwać.

— Wobec tego przepraszam. Może mój sekretarz — zaakcentował to słowo — omylił się i zamówił pokój w innym hotelu. Proszę odnieść rzeczy do samochodu.

— Ależ, sir. Szkoda trudów. Chciałem powiedzieć przedtem: „... i dlatego nie wiem jakie pomieszczenie pan sobie życzy". Może pan u nas dostać najpiękniejszy apartament. Nasz hotel jest największy w Chicago.

— Dobrze! Mam jeszcze dziś ważną konferencję i szkoda mi czasu. Proszę wskazać pokoje i zanieść tam moje kufry.

Odwrócił się, aby odejść i przypomniał sobie coś w połowie drogi.

— Panie portierze! Mam same angielskie banknoty. Zechce pan łaskawie zapłacić szofera i przedstawić mi potem rachunek.

— Yes, mylord.

Już nie śmiał się teraz, nawet w duchu. Wolnym spokojnym krokiem podążył do windy, dając przedtem znak Cliffowi, aby szedł za nim. Obawiał się, żeby wystraszony Murzyn nie wyrwał się z czymś, co przyspieszyłoby katastrofę.

Wskazany apartament na czwartym piętrze drapacza chmur podobał mu się oczywiście. Nawet osoba z domu panującego, przyzwyczajona do komfortu, byłaby nim zachwycona. Jaz nie dał Cliffowi dojść do słowa, póki ten z pomocą chłopców nie rozpakował waliz i nie rozmieścił ich zawartości w szafach. Dopiero kiedy zostali sami, kapitan zdjął marynarkę i kołnierzyk, włożył bonjourkę i rozparł się w śmiertelnie wygodnym fotelu pod żółtą ampą.

— Czemu pan mówił, że nie mamy pieniędzy — zwrócił się doń Cliff z wyrzutem.

— Ponieważ tak jest — stwierdził Jaz z zimną krwią. — Nie mamy nic Cliff. Jeden dolar, to tak samo jak nic, a pięćdziesiąt centów dałem windziarzowi. — Nie miałem drobnych — no, i nie wypada dać mniej przy takim apartamencie.

— Więc co to ma wszystko znaczyć. Ten hotel, te pokoje. Przecież to kosztuje miliony.

— Miliony, to przesada. Sądzę jednak, że jakieś sto dolarów dziennie policzą. Cóż miałem robić, nocować na ulicy? Popełnić samobójstwo i wskoczyć do Lake Michigen? Nie ma sensu! Teraz przynajmniej siedzę w tym fotelu, mogę się zastanowić, będę mógł wyspać się i zjeść na kredyt.

— Ale nie mamy na zapłacenie. Czytałem w gazetach, że za takie kawały pakują ludzi do więzienia.

— Trudno, Cliff. Może coś obmyślę do rana. W najgorszym razie zostawimy im kufry w zastaw. Nie mam zamiaru kraść — możesz mi wierzyć.

— Ja nie miałem tego na myśli.

— Miałeś i zupełnie słusznie. Wobec tego zapewniam cię uroczyście, że nic nikomu nie ukradniemy.

— To nawet nie jest kradzież. Ten apartament na pewno stoi cały rok pustką.

Jaz roześmiał się szczerze.

— Tak nie wolno stawiać kwestii, Cliff. Przestańmy jednak na razie myśleć o tym. Idź sobie do swego pokoju obok, tu masz papierosy, a ja się tymczasem namyślę. Trzeba przyznać, że jest nad czym.

Jazon Kent został sam. Musiał naprawdę stwierdzić, że nigdy nie wyobrażał sobie takiej sytuacji, nawet we śnie. Dopiero teraz ujrzał rzeczywistość. Poprzednio, myśl spadła nań tak nagle — że działał jak pod hypnozą. Cliff miał rację — wynajęcie pokoju w luksusowym hotelu, bluf z „moim sekretarzem", to wszystko prokuratura, policja i prawo karne określiłyby słusznie jako ordynarne szalbierstwo, za które pakuje się gościa na pół roku do więzienia, aby go raz na zawsze oduczyć i odstraszyć innych od strojenia podobnych kpin z poważnego przedsiębiorstwa. Ostatecznie, spółki akcyjne nie po to budują i organizują hotele, aby różne wagabundy — elegancko ubrane — z majątkiem niewystarczającym na porządny magazyn ilustrowany, leżący tu na stoliku — zajmowali najlepsze pokoje i wyczyniali głupie kawały i zgrywali się nędznie.

Kapitan chciał zastanowić się, wymyśleć coś, poradzić, rozumiał bowiem aż nadto dobrze, że ta sytuacja nie może przecież potrwać długo. Dzień, dwa, potem przyjdą z rachunkiem, on odmówi zapłacenia dla zwykłego braku pieniędzy i... —, koniec. Dalszy ciąg normalny: policja, protokół, areszt, sąd i wstyd.

Pomimo jednak szczerego wysiłku myślowego nie znajdował w tej chwili żadnego wyjścia, a cofnąć się było już za późno. Naturalnie, gdzieś, w podświadomości, musiało drzemać w ukryciu wyjaśnienie dziwacznego postępowania Jazona Kenta — był to bowiem ponad wszelką wątpliwość człowiek zdrów na umyśle. W tej minucie zrezygnował wszelako z męczącego i bez skutecznego wałkowania swego czynu. Jakoś to będzie — pomyślał niepoprawny optymista. Wstał raźno i chciał podejść do okna, aby je otworzyć. Wtedy zauważył leżący na stole sztywny prostokąt białego kartonu. Odczytał:

„Z okazji obradującego w naszym mieście XVI-go Światowego Kongresu Geografów odbędzie się dziś wieczorem o 8-ej raut-dancing w Sali Ambasadorów w Stevens Hotelu — na który Dyrekcja ma zaszczyt prosić WPana.

Stevens Hotel Ltd."

Jazon Kent rozejrzał się uważnie, odnalazł guzik dzwonka i nacisnął. Cliff zjawił się od razu, widocznie czuwał z niepokojem pod drzwiami.

— Przygotuj strój balowy, lakierki, białą koszulę, muszkę i dewizkę. Teraz już wiesz po co takiemu pętakowi jak ja potrzebny jest frak.

— Jak to?!

— Nie wytrzeszczaj oczu — zauważył kapitan rzeczowo. — Jako Murzyn masz je i tak dość wypukłe. Znalazłem tu na stole to zaproszenie i idę na dancing. Mój dolar wystarczy w sam raz na szatnię. Nie zapomnij zamienić płaskiej papierośnicy na półkolistą. (C.d.n.)

61)

Nienawiść a miłość

czyli tajemnica zamku Felseg

— Jego serce już pewnie zajęte, — mruknęła Augusta — o, ja muszę się o tym dowiedzieć! Mimo tego nie powinien być takim dumnym. Jesteśmy wszyscy dziećmi jednego Boga!

Zamyśliła się tak, że nie zauważyła nawet, że Teobald się odkrył i że go trzeba było znów przykryć, aby się nie zaziębił.

Myśli jej były przy prowizorze. Postanowiła wypytać służącą o niego i spodziewała się, że którąś z nich przyniesie jej kolację.

Lecz pani Hai nie byłaby ani Hani, ani też Tereni powierzyła tak ważnej misji, z obawy, aby one po drodze czego nie złasowały. Sama więc przynosiła dozorczyni jedzenie, tak, że Augusta w ciągu pierwszych dni nie poznała żadnej ze służących.

Stan Teobalda polepszył się znacznie w kilka dni po przybyciu dozorczyni i Augusta myślała, że rodzice chorego będą skakać z radości, ale omyliła się.

Wprawdzie oczy pani Hai zajaśniały uciechą, gdy jej Augusta tę nowinę przyniosła, ale po chwili twarz jej przybrała znów wyraz przygnębienia, który dozorczyni zauważyła, wchodząc do pokoju.

Aptekarz siedział przy stole obok swojej żony i nie podniósł nawet oczu z gazety, którą trzymał w ręku, gdy dozorczyni z wieścią tą weszła.

Augusta, która myślała, że co najmniej dostanie od niego szklankę wina, była rozczarowana i nazwała go w duchu, starym grzesznikiem.

Stojąc przy stole, powtórzyła raz jeszcze:

— Pani dobrodziejka może na mnie liczyć. Panicz spał spokojnie przez kilka godzin, a to jest niezawodnym znakiem polepszenia.

— Bardzo pocieszająca nowina — rzekła pani Hai, a zwróciwszy się do męża, zapytała:

Czy nie słyszysz Adolfie, co mówi Augusta?

— Słyszę, słyszę — ofuknął się Hai niecierpliwie — moim zdaniem Teobald nie był w ogóle taki chory, jak ty myślałaś, kochana Selmo. Byłaś przesadną, jak wszystkie kobiety, które zaraz w najmniejszej niedyspozycji widzą śmiertelną chorobę.

Pani Hai wzruszyła milcząc ramionami, ale gorzki, ostry rys około jej ust pogłębił się jeszcze. Nie pytała Augusty o nic więcej i zdawała się czekać niecierpliwie, aby opuściła pokój.

Augusta zaś zerkała ciekawie na gazetę, która absorbowała całą uwagę pana Haia. Początkowo myślała, że to były kursy giełdowe i że aptekarz poniósł pewnie wielką stratę, przekonała się jednak po chwili, że to anonsy on tak pilnie studiował.

Widząc wreszcie, jak obecność jej była niepożądaną, opuściła pokój głośnymi krokami, ale następnie skradła się pod drzwi, na końcach palców i przyłożyła ucho do dziurki od klucza, aby podsłuchać rozmowę pana Haia z żoną. Przebiegła dozorczyni poznała bowiem na pierwszy rzut oka, że mieli oni jakąś ważną tajemnicę.

— Co to za inserat, który cię tak niepokoi? — zapytała pani Hai.

Teraz aptekarz odczytał przyciszonym, ale zrozumiałym głosem następujący anons:

Wzywa się pannę Idę Steinert, córkę zmarłego dysponenta Steinerta i żony jego Leokadii ur. Dumarais, aby się zgłosiła do biura adwokata Eisenharta, Graben 17., gdzie na nią ważne czekają wiadomości.

— Od kogo to może pochodzić? — zapytał aptekarz zaniepokojony.

— Tylko od markiza! Nie ma wątpliwości o tym — odparła pani Selma.

— Bo też to był nieszczęśliwy dzień, w którym przyjęłaś markiza de Lorme w nasz dom! — zawołał Hai gniewnie — ale naturalnie, kobiety zawsze wnoszą nieszczęście w rodzinę, swoimi głupimi pomysłami i czynami!

— Mówisz słusznie, kochanku! Zgadzam się zupełnie z tobą. Twoja faworytka — rzekła pani Hai z przycinkiem — rzeczywiście wiele nieszczęścia mi przyniosła.

Nie wiem doprawdy, Adolfie, skąd bierzesz tyle bezczelności, aby jeszcze mnie wyrzut robić! Po co mnie jeszcze bardziej rozgoryczasz i irytujesz niesłusznym obwinieniem? Słowami nic tu nie pomożesz. Musisz działać i to działać bardzo prędko i rezolutnie, aby niebezpieczeństwu zaradzić.

— Ale jak? — zapytał Hai ponuro.

— Jedź natychmiast do Eisenharta — radziła pani Hai — przedstaw mu się jako opiekun Idy Steinert i zapytaj się, od kogo on miał to zlecenie. Jesteś poważnym człowiekiem i on ci informacji nie odmówi.

— Co mi z tego, jak się dowiem z czyjego polecenia Eisenhart to zrobił? — zapytał Hai widocznie stroskany.

— Będziemy najpierw wiedzieli, czy Spillerowie intrygują na spółkę z markizem, bo de Lorme mógł się tylko od nich dowiedzieć o familijnym nazwisku pani Steinert — zawołała pani Selma gniewnie — a po drugie, będziemy wiedzieli z której strony niebezpieczeństwo nam grozi!

— Słusznie — mruknął Hai — pójdę za twoją radą, Selmo!

Zaraz potem usłyszała panna Augusta, która aż do tej chwili pode drzwiami podsłuchiwała, odsuwanie krzeseł i uciekła pośpiesznie, aby ją Hai nie złapał na gorącym uczynku.

— Więc oni mieli wychowankę, która im uciekła — mruknęła dozorczyni — hm, hm!

Usiadła znów przy łóżku chorego, a Hai pojechał niezwłocznie do biura adwokata Eisenharta. Zastał tam już klientów, którzy go uprzedzili i musiał dość długo czekać.

Wreszcie przyszła kolej na niego i Eisenhart poprosiwszy go do swojej pracowni zapytał uprzejmie, czym mu może służyć.

— Słyszałem tyle dobrego o panu — rzekł Hai słodko, że pragnąłem zapoznać się z panem osobiście.

— Bardzo to dla mnie pochlebne — odparł Eisenhart, patrząc badawczo na chytrą fizjognomię swego gościa — ale proszę usiąść, panie aptekarzu!

To mówiąc, wskazał mu wygodny fotel, który Hai niezwłocznie zajął.



Powstała mała pauza, którą znów Hai przerwał.

— Wybrałeś pan trudny zawód, panie mecenasie, — rzekł — trzeba by panu dobrych, wiernych przyjaciół dla porady w niejednym trudnym położeniu. Ja ofiarowuję panu swoją ojcowską przyjaźń!

Eisenhart popatrzył na gościa swego zdziwiony, ukrywając z trudem lekki szyderczy uśmiech.

— Pan aptekarz zanadto dla mnie łaskaw! — rzekł wreszcie w odpowiedzi na te oświadczyny.

— Spodziewam się, że mi się pan odwzajemni — odezwał się znów Hai.

— Nie wiem doprawdy, czym sobie zasłużyłem na tyle uprzejmości — bronił się młody adwokat.

— Niech mi pan tylko nie odpowiada wymijająco — zawołał Hai — oto moja ręka. Zawrzyjmy przyjaźń!

Zmuszony, ujął Eisenhart wyciągniętą ku sobie prawicę aptekarza.

— Wie pan co? — zaproponował Hai — zajdźmy do jakiejś winiarni, zapić naszą świeżo zawartą przyjaźń! Przyjaźń bowiem jest rośliną, lubiącą wilgotny grunt, i która szczególnie pięknie rośnie, podlewana winem. Dokąd pójdziemy? Woli pan Lorenza czy Raimonda?

— Wybaczy pan — rzekł Eisenhart grzecznie, ale stanowczo — lecz czas mój tak jest zajęty, że w żaden sposób nie mogę korzystać z łaskawego zaproszenia. Co zaś



Albania obchodziła w tych dniach 25-lecie niepodległości. Na zdjęciu król albański Zogu I. w otoczeniu czterech sióstr (Ruhije, Senije, Mysejen i Maxhide) oraz swego kuzyna, księcia Tati.

do przyjaźni, nie jest ona przez to mniej szczerą!

— Fatalnie — pomyślał Hai — on mi nie dowierza! Unika mnie widocznie! Nie dam jednak za wygraną i będę go tak długo nudził, dopóki przecież pójdzie ze mną do jakiejś winiarni. Jak się napije kilka szklaneczek wina, to mu się język rozwiąże.

Zaczął więc na nowo prosić, nalegać i schlebiać, lecz Eisenhart był nieugięty.

Gdy wreszcie ujrzał, że tą drogą nie dojdzie do celu, zmienił taktykę i zapytał prosto z mostu:

— Czy pan oczekuje teraz klienta swego, markiza de Lorme, że pan nie może odejść?

— Markiz de Lorme nie należy do moich klientów — odpowiedział Eisenhart spokojnie — z czego pan jednak wnioskuje, że jestem jego prawnym zastępcą?

— O, to wcale nie trudno — zawołał aptekarz — gdym dzisiejszy inserat w gazecie przeczytał, wiedziałem zaraz, że pan działa za inicjatywą markiza.

— Myli się pan — zapewniał go adwokat — nawet nie znam osobiście markiza.

— Któż inny mógł panu dać to zlecenie, jeśli nie markiz? — zawołał aptekarz.

— Wybaczy pan, jeśli na to pytanie nie odpowiem — odparł znów Eisenhart z lekkim uśmiechem — tajemnice moich klientów są mi święte i jestem co do nich zawsze dyskretny.

— Pochwalam zasady pana w zupełności; czynią one panu nawet zaszczyt — zapewniał Hai. — Rozumie się zresztą samo przez się, że się tajemnic zawodowych nie wywiesza na wielki dzwon. Ale mały wyjątek z reguły można przecież kiedyś zrobić. Niech pan nie zapomina, że ja jestem opiekunem Idy Steinert i mam, jako taki, wszelkie prawo wiedzieć o wszystkim, co się jej tyczy.

— W tym sęk! — pomyślał Eisenhart — a głośno rzekł:

Bardzo mi żal, że życzeniu pańskiemu zadość uczynić nie mogę, ale wierzaj mi pan, że to nie kaprys, ani upór, tylko zasada, od której odstąpić nie mogę!

— Więc mi pan odmawia informacyj? — zapytał Hai z utajoną wściekłością.

— Moje ostatnie słowo — potwierdził młody adwokat uprzejmie, lecz niewzruszenie.

Nie mogąc się dłużej opanować, złapał Hai swój kapelusz i wybiegł z pokoju bez pożegnania.

Eisenhart popatrzył za nim z lekkim uśmiechem.

— Wyleciał jak z procy! — mruknął. — Bernard miał słuszność, gładka powierzchowność jego pokrywa charakter wątpliwej wartości! Jest on niebezpieczniejszy, niż myślałem i będę się odtąd przed nim miał na baczności!

Aptekarz wrócił wściekły do swego mieszkania.

Pod „Złotym Aniołem" tymczasem każdy już wiedział o inseracie tyczącym się Idy.

Hania, która zaniosła praktykantom drugie śniadanie, widziała anons ten na własne oczy i niezwłocznie podzieliła się tą wiadomością z Terenią. Podczas gdy obie żywo o tym rozprawiały, weszła Augusta do kuchni.

— Co tam nowego? — spytała zaciekawiona.

Terenia i Hania spojrzały na nią, jak gdyby badając, o ile jej zaufać można.

Augusta zrozumiała badawcze ich spojrzenia.

— Co sobie o mnie myślicie? — rzekła z oburzeniem. — Ja miałabym was oskarżać, albo plotki na was robić przed państwem! A toby ładnie było! Czy zresztą myślicie, że ja nie zauważyłam, że się tam — tu pokazała ręką na pokoje — że się tam coś święci! Chybabym oczu nie miała. Możecie mi wszystko otwarcie powiedzieć, a ja wam w zamian doniosę swoje spostrzeżenia.

Uspokojone zapewnieniem i zachęcone obietnicą, zaczęły obie służące równocześnie informować dozorczynię o stosunkach panujących w domu państwa Haiów. Opowiadały jej o strasznym życiu, jakie biedna Ida w domu tym prowadziła, i chwaliły jej dobroć, piękność, pilność i zręczność. Okazywały one obie wielkie przywiązanie do Idy i pocieszały się nadzieją, że może znalazła jakąś poczciwą przyjaciółkę i opiekunkę.

— Czy nie ma ona nikogo na świecie? — spytała Stölzel ciekawie. — Każdy człowiek przecież ma jakichś krewnych?

— Pewnie, że i ona musi mieć jakąś familię — rzekła Hania — ale cóż jej z tego, kiedy nic o niej nie wie. A nie ma biedaczka ani jednej dobrej przyjaciółki!

— Musiała przecież mieć jakieś koleżanki szkolne? — zapytała Augusta.

— Nie — odpowiedziała Hania — powiedziała nam sama, że nie ma żadnej przyjaciółki, a jak się uczyła szycia u Jetki Friedrich, to także tam z nikim się nie zapoznała.

Oczy Augusty Stölzel zabłysły, gdy nazwisko Jetki usłyszała.

— Jetka Friedrich! — powtórzyła — czy to nie jest taka mała, zasuszona, stara panna?

— Widziałam ją tylko raz — rzekła Hania — bo się pokłóciła z naszą panią i później już więcej nie przychodziła. Przypominam sobie, że była mała i dziwaczna, ale panna Ida bardzo ją lubiła i szanowała.

Oczy dozorczyni znów zabłysły. Widocznie zaczęła sobie coś przypominać i kombinować. Z wielkim zajęciem wypytywała się dalej o wygląd Idy; czy była dużego wzrostu i czy miała jasne włosy.

Obie służące opisały jej jak najdokładniej piękną powierzchowność Idy, a Augusta przysłuchiwała się im ze źle ukrytym zaciekawieniem.

— O, coby nasza pani teraz za to dała — rzekła wreszcie Hania — gdyby się mogła dowiedzieć, gdzie się panna Ida teraz obraca!

Może ja tej dobrej duszy będę mogła pomóc — triumfowała Augusta w duchu — bo jestem prawie pewna, że ta młoda szwaczka, którą Jetka przywiozła ze sobą do sanatorium, jest właśnie zbiegłą stąd Idą.

Była jednak zanadto przebiegła, aby tym przypuszczeniem podzielić się ze służącymi. Dowiedziała się od nich jeszcze niektórych szczegółów o Idzie i opuściła kuchnię.

Triumfująco weszła do pokoju, w którym pani Hai z mężem naradzali się, co im dalej czynić wypada.

— Co tam zaszło — spytała pani Hai, zniecierpliwiona tą niespodzianą przerwą.

— Pani dobrodziejko — ozwała się dozorczyni — dowiedziałam się, że pani szuka niejaką Idę Steinert. Co ja za to dostanę, jeśli pani adres tej panny podam?

— Gdzie ona przebywa? — zawołali państwo Haiowie równocześnie.

— Bardzo państwa przepraszam — rzekła Augusta grzecznie — ale adres tej damy dopiero wtedy państwu podam, gdy

się umówimy co do nagrody, którą za tę wiadomość mam dostać.

— Przecież my nikogo wyzyskać nie chcemy, odpowiedziała pani aptekarzowa — niech nam Augusta powie miejsce pobytu Idy, a jestem przekonana, że z nagrody, którą wyznaczymy, będzie bardzo zadowolona. Niechże Augusta powie, gdzie jest Ida?

— Nie, pani dobrodziejko — uśmiechnęła się dozorczyni — tak prędko to nie idzie. Jak powiem, gdzie ta dama przebywa, nie zapewniwszy sobie przedtem należytej nagrody, to oddaję się na łaskę i niełaskę w ręce pani. To byłoby tyle, co wydać broń nim bitwa wygrana. Proszę mi pierwej powiedzieć ile dostanę, a ja zaraz potem podam za to swoje wiadomości.

— Oho, moja córko — rzekł aptekarz z wyrzutem — widzę, że należysz do dzieci świata i zanadto wiele wagi przywiązujesz do skarbów doczesnych!

— To jest wszystko bardzo piękne i dobre — odpowiedziała panna Stölzel — ale rozsądek nakazuje mi złożyć sobie trochę grosza na starość.

— Kiedy to nie jest w myśli religii chrześcijańskiej — ganił znów Hai — bo w biblii świętej stoi:

Nie troszczcie się o dzień jutrzejszy! Niech każdy dzień ma swój trud i kłopoty!

— A jednak pan zabezpieczył się na starość, panie aptekarzu — odcięła mu się Augusta — dlaczegobym i ja nie miała o przyszłości pomyśleć?

Nie będę sobie pewnie mogła kupić takiej wielkiej kamienicy, jaką ma pan, ale zupełnie bez centa także nie chcę być, tym bardziej, że mogę temu zapobiec. Proszę mi powiedzieć ile dostanę, bo długie zwlekanie państwa, złe wrażenie na mnie robi! Gdybym się udała z tą wiadomością do pana Eisenharta, to on z pewnością nie skąpiłby tak zapłatą.

Była to lekka groźba, którą Augusta chciała dać do poznania, że jeśli tu nie dostanie tyle, ile sobie życzy, to pójdzie do adwokata.

— Dam 20 reńskich — rzekł Hai przestraszony.

— Dwadzieścia reńskich! — zawołała Augusta szyderczo. — Nie, niżej 100 złotych nie dam swych wiadomości. Jak mi pan sumę tę gotówką wypłaci, wtedy dopiero podam adres panny Steinert.

— Tak, to byłby dobry interes! — drwiła znów aptekarzowa — ale my nie głupi i kota w worku nie kupujemy. Nie damy ani centa, nim się o prawdziwości otrzymanego adresu nie przekonamy.

— Tak, wrzeszczała Augusta — więc ja państwu mam ślepo ufać, a państwo mnie ani troszeczkę!

Aptekarz palił się z niecierpliwości. Chciał jak najprędzej dowiedzieć się o adresie Idy, a widział, że sprzeczka między kobietami potrwa jeszcze dalej, jeśli on nie przerwie. Rzekł więc:

— Zobowiążę się pisemnie wypłacić Auguście sto złotych, jeśli się pokaże, że adres Idy jest dobry. Czy zgoda?

Dozorczyni wahała się jeszcze chwilę, potem odpowiedziała:

— Dobrze, zgadzam się na to, ale pod warunkiem, że ja pana sama do Idy odprowadzę.

— Jeżeli Augusta chce ponieść koszta podróży, to nie mam nic przeciwko temu



Król Karol rumuński w towarzystwie następcy tronu ks. Michała i przedstawicieli rządu, wygłosił przemówienie podczas odsłonięcia pomnika piechoty.

— rzekł Hai — czy to daleko za Wiedniem?

— Nie — odparła dozorczyni z przebiegłym uśmiechem — proszę mi wystawić obiecany przekaz na sto złotych, a ja nazwę panu miejscowość, do której się mamy udać.

Hai napisał prędko kilka słów na kartce papieru, którą wydarł z notatki i podał ją dozorczyni. Ta przeczytawszy kartkę, wsunęła ją zadowolona do kieszeni.

— A więc gdzie jest Ida? — zapytał Hai, pełen niecierpliwości.

— Jest ona w sanatorium doktora Silasa! — odpowiedziała Augusta.

ROZDZIAŁ CCXXXII

Zawczesny triumf

Przez chwilę po tym odkryciu panowała grobowa cisza. Pan i pani Hai osłupieli ze zdziwienia. Wreszcie pani Selma przyszła pierwsza do siebie i spytała:

— Czy Ida rzeczywiście jest obłąkana, czy ją może tylko gwałtem i nieprawnie tam przytrzymują?

— Jest zupełnie przy zdrowych zmysłach, bo inaczej nie byłaby przecież dobrowolnie opuściła domu państwa — schlebiała Augusta — ale ona przyszła do sanatorium z własnego popędu i czuła się tam widocznie bardzo dobrze.

— Co ona tam robi? — spytała znów pani Hai niedowierzająco.

— Naprawia starą bieliznę od rana do wieczora i szyje nową na maszynie — opowiadała dozorczyni. — Jetka Friedrich przywiozła pannę Steinert ze sobą do sanatorium i zostawiła ją tam, a sama wróciła po kilku dniach na powrót do Wiedna.

Wiadomość ta rozłościła aptekarzową okropnie.

— Więc to Jetka schroniła u siebie uciekinierkę — zawołała oburzona — to fałszywa istota! Niedarmo jej nigdy nie ufałam i pokazuje się, że znów miałam słuszność. Tego się jej jednak nie podaruje! Kto pomaga niepełnoletnim do ucieczki z domu rodziców lub opiekunów, tego prawo ostro karze! Dowie się ona o tym ze swoją własną szkodą!

— O tym później pomówimy — rzekł aptekarz z brzydkim, mściwym wyrazem twarzy — ale teraz ściągniemy Idę przede wszystkim na powrót w nasz dom.

— A jak wróci, ta kochana wychowanka, to jej z procentem odpłacę nieprzyjemności, które przez nią miałam! — rzekła pani Hai złośliwie! — W tym jej już ani Teobald, ani Bernard nie pomoże!

— Całkiem słusznie — potwierdziła panna Stölzel — zanadto wielką dobrocią i łagodnością tylko się ludzi psuje!

— Dam tylko jeszcze Bernardowi jedno zlecenie — rzekł aptekarz — i zaraz się wybieram w drogę!

Zadzwonił niecierpliwie i rozkazał wchodzącej Hani, aby niezwłocznie zawołała prowizora.

— Muszę wyjechać na kilka godzin — rzekł aptekarz — i muszę panu zostawić jeszcze niektóre dyspozycje.

W kilka minut później zjawił się Bernard w pokoju swego szefa.

Słuchając zleceń aptekarza powiódł Bernard badawczym spojrzeniem po wszystkich obecnych, bo poznał od razu, że się tu coś nadzwyczajnego święci.

Augusta poznała go zaraz i przypomniała sobie, jaki był dla niej niegrzeczny. Przypuszczała, że musi być wielbicielem pięknej Idy i aby się o tym przekonać, rzekła głośno do pani Hai:

Wszyscy, którzy byli z panną Idą równocześnie w zakładzie, byli nią zachwyceni. Mogę sobie więc łatwo wyobrazić, jak zadowoloną pani aptekarzowa będzie, gdy ona znów wróci!

— Czy się pani naprawdę dowiedziała, gdzie panna Ida przebywa? — zapytał Bernard — żywo zainteresowany.

— Tak, udało mi się wreszcie — zawołał pan Hai triumfująco — i sprowadzę ją na powrót, bo dobra żona moja wszystko jej chce przebaczyć, a i Teobald zapomni swej narzeczonej wyrządzoną mu przykrość i krzywdę. Prawdziwa miłość bo-



Podczas pobytu w Warszawie minister spraw zagranicznych Francji, Delbos został m. in. przyjęty przez Marszałka Śmigłego-Rydza. Na zdjęciu od lewej: min. spraw zagr. Beck, Marszałek Śmigły-Rydz i min. Delbos.

wiem wszystko przebaczą! — dodał patetycznie.

Ale prowizor nie bardzo wierzył słodkim słowom swego szefa. Wiedział on aż nadto dobrze, co za los Idę czeka, gdy się znów w ręce swoich opiekunów dostanie i zaniepokoił się szczerze o drogą mu dziewczynę.

— Czy wolno mi odprowadzić pana, panie aptekarzu? — zapytał.

— Co sobie pan myśli? — oburzył się pan Hai. — Odprowadzić mnie! Jeszcze by czego brakowało! A co się z apteką stanie? Nie! zostanie pan tu, bo zresztą nie wiem nawet, co by to za cel i za sens miało! Zdaje mi się, że jestem sam dość dobrą opieką dla swojej wychowanki? Czy może pan jesteś innego zdania?

Popatrzył groźnie na swego pomocnika, ale Bernard odpowiedział odważnie i stanowczo:

— Jestem u pana w kondycji i jak mi pan każe zostać w aptece, to muszę się do tego rozkazu zastosować. Proszę jednak nie zapominać, że panna Ida znalazła teraz silnego obrońcę, który potrafi pomścić każdą wyrządzoną jej krzywdę.

W sercu Augusty wezbrała okropna zazdrość na myśl, że młody i przystojny prowizor, do którego ona wzdychała bez wzajemności, taki zajęty był piękną Idą. Przerwała mu więc, krzycząc głośno:

— Nie, tego już za wiele! Ten pan tak postępuje, jak gdyby pan aptekarz swoją wychowankę co najmniej chciał zamordować. Przecież pan aptekarz tylko z dobroci serca...

— Prędko, bo nie mam czasu czekać na ukończenie rozhoworu! — krzyknął stary Hai niecierpliwie.

— Piękna wdzięczność za to, żem się za panem ujęła — rzekła Augusta z wyrzutem.

— Nie potrzebuję żadnej obrony — zapewniał ją aptekarz — już ja się sam potrafię obronić! Zwracam jednak uwagę, że nie czekam dłużej jak 5 minut, a później sam pojadę, jeśli Augusta do tego czasu nie będzie gotową!

Ta groźba poskutkowała i dozorczyni pobiegła prędko i wróciła natychmiast zebrana.

— Życzę szczęścia! — rzekła pani Hai ze złośliwym uśmiechem, gdy mąż jej z Augustą wsiadał do fiakra. Aptekarz tak był zirytowany, że wbrew zwyczajowi swemu nie zawiązywał nawet z woźnicą rozmowy, tylko podał mu krótko cel podróży i naglił do prędkiej jazdy.

Woźnica świsnął batożkiem i konie popędziły galopem. Pan Hai oparł się o poduszki i zacierał ręce, uśmiechając się do siebie.

— Skoro tylko z Idą wrócę do Wiednia, dam zaraz na zapowiedź — pomyślał. — Ida i Teobald muszą się w najkrótszym czasie pobrać i jak chłopak prędko nie wyzdrowieje, to bodaj przy jego łożu ślub wezmą. Wszystko mi jedno, jak to się odbędzie, wiem tylko, że się w jak najkrótszym czasie odbyć musi.

Panna Augusta zaś myślała: Zarobiłam sobie lekko 100 guldenów i cieszę się tą sumką niewymownie, bardziej jednak cieszy mnie jeszcze myśl, że rozłoszczę tę wstrętną mi Willemerkę! Ha! ha! Jak ja się tym cieszę!

Z trudnością powstrzymała dozorczyni głośny śmiech radości. Nie mogła doczekać się przybycia swego do sanatorium i naglila woźnicę tak do pośpiechu, że ten mruknął gburowato:

Nie mogę przecież koni na śmierć zamęczyć! Jeśli się pani nie podoba, to niech pani wysiada, ale ja żądam całą swoją zapłatę!

— Nie potrzebujecie zaraz tak fukać — odrzekła Augusta — a jak prędko pojedziecie, to pan aptekarz nie poskąpi napiwku!

Woźnica mruknął znów coś niewyraźnie pod nosem, ale wcale prędzej nie jechał niż dotychczas.

Wreszcie, wreszcie ukazał się zdala ogród

— To tu! — zawołała Augusta radośnie. otaczający sanatorium!

Dorożka zatrzymała się przed bramą, a dozorczyni wyskoczyła i tak silnie pociągnęła za dzwonek, że jej rączka w dłoni została, a jeden z dozorców, będący w ogrodzie, przybiegł śpiesznie aby otworzyć furtkę.

— Czy pan dyrektor jest w domu? — zapytała Augusta.

— Jezus Maria! Toż to Augusta! — zawołał dozorca zdziwiony — a co pani Willemer na to powie?

— Czy ja się pani Willemer boję! — odpowiedziała Augusta wyzywająco. — Niech ona będzie zadowolona, że jej daję spokój! Czy pan dyrektor jest w domu? — spytała raz jeszcze niecierpliwie.

— Nie — odpowiedział dozorca z uśmiechem — ale pani Willemer jest, czy mam zameldować?

— Niekoniecznie — rzekła Augusta — sami sobie drogę do niej znajdziemy.. Proszę tędy, panie aptekarzu! Zaskoczymy ją niespodzianie!

Zdziwiony dozorca chciał o coś zapytać, ale panna Stölzel przeszła szybko koło niego i podążyła wprost do tej części budynku, w którym była pracownia pani Willemer.

Przebiegła kilka sal, w których nikogo nie było, a aptekarz szedł za nią z kapeluszem w ręku przybrawszy bardzo pobożną minę.

Wreszcie przewodniczka jego otworzyła drzwi i ujrzała piękną swą nieprzyjaciółkę, siedzącą przy biurku. Przed nią leżał cały stos rachunków, które sprawdzała.

Gdy zobaczyła wchodzącą Augustę, rzekła spokojnie ale ostro:

— Wy tu? Czyście już zapomnieli, że zakazałam wam przestępować próg naszego zakładu?

Eksdozorczyni roześmiała się szyderczo. Następnie wziąwszy się za boki, zmierzyła panią Willemer zuchwałym wzrokiem i krzyknęła:

— Pani mnie ma zakazywać? Pani chce mnie dawać nauki? Ja tu pani zaraz pokażę! Jaka mi cnotliwa osoba, jaka święta! Ja z pani zedrę maskę i pokażę w prawdziwej postaci!

Piękna twarz pani Willemer zbladła, ale ona sama zachowała zupełny spokój. Wzruszyła tylko pogardliwie ramionami i zadzwoniła silnie dwa razy.

Na ten znak wszedł silny, muskularny dozorca, a pani Willemer wskazawszy ręką w stronę Augusty, rzekła rozkazująco:

— Precz z nią!

Ale Augusta złapawszy się biurka, krzyknęła przeraźliwym głosem:

— Ja nie dam się za drzwi wyrzucić! Ja chcę mówić! Nie ujdzie pani teraz wszystko płazem, tak jak dotychczas! Ten pan tu wskazała głową na Haia — który jest wzorem cnoty i poczciwości, ma lekkomyślną wychowankę, która z jego domu uciekła, aby na własną rękę wesołe prowadzić życie. Pani zaś, zamiast przemówić takiej dziewczynie do sumienia, wspierała jej niecne postępowanie jeszcze, dając jej tu schronisko.

— Zdaje mi się, że ona zwariowała — rzekła pani Willemer łagodnie i z współczuciem.

(Ciąg dalszy na str. 1017).

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

MOJE POWIEŚCI!

Do serca mego tulę,
jak skarb niezapomniany,
Zawsze mi bliskie i drogie,
na zawsze pokochane...
— bo w nich moje myśli, wyznania
w barwnej snują się treści...
bo sercem mym pokochałem
— „Moje Powieści"!
Bo napływają do mnie
powrotnym, tym samym echem —
„w krainę radości i troski..."
łzą i uśmiechem...
Bo przemawiają do mnie
słowem najprostszym, kochanym,
w listach waszych zapytań...
w listach niezapomnianych...
Do serca mego tulę —
w których się tyle mieści
zachwytów i słów słonecznych...
— Kocham was „Moje Powieści"!

Józef Baranowski.

INNA „DANKA"

„Danka". Droga Dziewczynko! Owszem zalega w teczce list dla „Słodkiej Danusi", ale wiem, że w tym wypadku chodzi nie o Ciebie. „Słodka Danuś" ma adres: poste - restante — pod „Danka". I o tę „Dankę" mi chodzi. Wolałabym, abyście raczej adresu anonimowego nie podawały — zapominacie zgłaszać się regularnie na pocztę i w konsekwencji listy wracają, narażając nas nota bene na większy koszt.

Halo! „Krainiacy" — postarajcie się napisać miłej i b. kochanej „Dance" kilka listów — niech nie czeka nasza Siostrzyczka daremnie!

Pozdrawiam Cię, „Danusiu", i zasyłam przyjacielski uśmiech.

ZAMIESZCZAM KOMUNIKATY

„Eros". Odpowiadam na Pana pocztówkę, „Erosie". Nie ma w niej dużo, więc też niedużo odpowiem. Uczynię to jednak w odpowiedzi na zalegający list. Dziś chodzi mi raczej o przekazanie Twoich komunikatów, gdyż obawiam się nowych wymówek i słownych ciegów. Oj, nadokuczasz Ty tej swojej Ciotuchnie — aż czasem strach przeczytać list, bo wie się, że rozpieszczony Siostrzeniec na pewno nie omieszka nawymawiać, że to, że tamto, że owo...! Ale to nic — Ciotuchna, jak Ciotuchna, wybaczy, uśmiechnie się i dalej „Smyka" lubi.

A on to wie i jest zadowolony. Czy tak?

Pozdrawiam Go i zamieszczam komunikaty.

„Przedwiośnię" — ślę serdeczne pozdrowienia. Owszem, napiszę wkrótce.

„Bajka" — chętnie nawiążę z Tobą kontakt — napisz. Śliczne pa i pozdrowienia.

Psychoanalizo — listy wróciły, gdzie się obracasz? Dlaczego zamilkłaś? Napiszesz już szybko?

Wszystkim Sympatyczkom i Sympatykom serdeczności!

„Pilotka K. M." — kiedy zwrócisz tygodnik? Pozdrawiam!

TAK SIĘ NIEPOKOIŁAM!...

„Biała Uajali". Drogie Dziecko! Tak się niepokoiłam — nie wiedziałam, co z Tobą. Już nawet miałam zamiar napisać do Kręp. — obyło się. Cieszę się niewymownie, że mówisz tak ciepło o poznanych osobiście, „Takim Jednym", a także i tych, z którymi utrzymujesz kontakt listowny. To dobrze, że nasi Sympatycy są ludźmi serca i humoru — zresztą wiem o tym, a tylko miło mi to słyszeć zawsze od nowa i z coraz innych ust.

„Taki Jeden" pisał już do mnie — zgadzam się z Tobą, Droga Moja, że z niego złoty chłopak.

Zwróciłam Twoje fotosy do Kr. — czy ich nie otrzymałaś? Odbitki oczywiście nie dawałam robić, bo nie wiedziałam, czy masz ochotę ujrzeć je w „Krainie". Ponadto chciałabym się od Ciebie dowiedzieć, czy administracja przesłała Ci numery z września i października?

Dużo dałaś komunikatów, Droga Ty Moja, więc muszę skończyć rozmowę z Tobą. Całuję Cię i proszę pisz!

„Halo, halo!... tu „Biała Uajali" — „Mała Konwalijko", całuję buźkę — będę wierzyć, dla Ciebie!

„Maruto"! Ty dobra b. dobra — pozdrawiam mocno i proszę pamiętaj o... Kaji — dobrze! — dziękuję!

„Czarny Hajduczku" gdzie się obracasz i.... co robisz, czemu nie mam od ciebie, odpowiedzi — tak mi smutno, Reno! — Przedwiośnie", Nuno całusy!

Co z Tobą „Dumko", czemu milczysz? —

„Taki jeden", oby płatki był wiecznie żywe jak... wiecznie żywa będzie pamięć — ściskam dłoń.

„Rene", jeśli słowa te czytać będziesz — uśmiechnij się bo... ślę Ci uśmiech promienny i... pozdrowienia.

Dla reszty sympatyków ślę piękne pa! i odwzajemniam się wszystkim za dobre słowa pamięci i pozdrowienia. Rewanżując się, mocno wszystkich pozdrawiam!

Jeśli ktoś z zainteresowanych będzie chciał osobiście przesłać mi pozdrowienia, adres mój teraz: Września poste - restante, pod „Biała Uajali" — czekam...

„Wirrycie" dziękuje za pozdrowienie, pozostał po Łodzi, głęboki smutek i... rozczarowanie — to nic.

Z PRZYJEMNOŚCIĄ

„Henczesem". Z przyjemnością załatwiłam Panu tę sprawę — nie wymagała takiej znowu nadzwyczajnej fatygi.

Za pozdrowienia dziękuję i odwzajemniam z równą serdecznością.

„Krainiakom" przekazuję słowa sympatii od Pana.

PRZYJAŹŃ

Wyśpiewać z serca nie jestem zdolen
głębię mych tęsknot bezdenną...
Ach, jak szczęśliwy czuję się wtenczas,
kiedy Ty jesteś ze mną.

Wiem, że nie dla mnie są Twoje oczy
zasnute mgłą tęsknoty —
i nie dla Ciebie ma skryta miłość
w drodze powrotu.

A cieszysz się jednak, gdy mnie zobaczysz...
radość się wielka w nas skrębia... [czysz,
bo nasze serca złączyła przyjaźń,
która jest życia — głębią.

Jan Feliks Płóciennik.

CZEKAM NA ADRES

„Promienne Szczęście". „Puk, puk... I oto idę do Was ze szczerością i przyjaźnią serdeczną. Pragnę, abyście przyjęli mnie bez wielkich trudności. A mogę się Wam, Drodzy „Krainiacy", i przedstawić: jestem ciemną blondynką wzrostu średniego i liczę sobie 20 wiosen życia. Pomimo monotonności, w jakiej żyję — nie nudzę się i uśmiech nie schodzi mi z twarzy".

Cudownie! Miło się nam przedstawiłaś, o nieznana Osobo, ale ani się podpisałaś, ani nie podałaś mi swego adresu. Gdyby nie wyznanie, że jesteś ciemną blondynką nie wiedziałabym nawet, czy mam przyjemność rozmawiać z kobietą, czy też mężczyzną. Popraw się na przyszłość; bo inaczej, a mogę za to spokojnie ręczyć, nie otrzymasz jednego miłego słowa w liście od moich pupilów. Bo niby jak?!

A widzisz, że śmiejesz się ze swej nieuwagi?! Trzeba się skupić, gdy ma się życzenie nawiązania korespondencji z miłymi ludźmi.

No, pozdrawiam Cię i czekam na adres!

DOBRZE

„Zefir Zachodu". Dobrze, przyjmuję Pana do „Krainy". Rozumiem, że nie wszyscy lubią zabawy i tańce, a natomiast uwielbiają spokój i ciszę — Pan jesteś jednym z tych drugich. Nie przejmuj się tym proszę! Skoro lubisz korespondować, to i tak możesz mieć dużo miłych chwil dzięki rozmowom listownym.. Życzę Panu tego! Cieszę się, że jesteś Pan zadowolony ze swej posady, zaś tym, że nie jesteś pięknym, nie przejmuj się absolutnie. Znasz, sądzę, stare polskie przysłowie, które mówi o piękności męskiej — a przysłowia często prawdę życiową podają krótko acz dobitnie. Ślę Panu pozdrowienia!

NIE OMIESZKAM

„Wymarzona". Tyle mi Pani miłych słów powiedziała i tak wychwaliła, że się aż trochę czuję skrępowana. Uważam sobie za obowiązek być dobrą dla „Krainiaków" i nie ma tu o czym mówić! I Ty zawsze możesz się zwrócić do mnie — nie omieszkam wysłuchać Cię i wesprzeć taką czy inną radą.

Na razie przesyłam Ci miły uśmiech i przedrukowuję komunikaty:

„Halo! „Zdobywco serc II" — listu nie wyślę, gdyż uważam to za zbyteczne. Przesyłkę od K. przeznaczoną dla mnie otrzymałam — prześliczne! I cieszę się na spotkanie.

„Smutnej Imeldzie" ślę pełen wagon całusów.

Miłe pozdrowienia dla „Gwidona", „Oriona" i „Mileczka B. 86685"! Może mi napiszecie listy?

PRZEKONAMY SIĘ

„Roześmiana Geńka" jest podobno miła i niebrzydka, bywa jeszcze często kapryśna, ale ale nie tak bardzo, abyśmy ją mieli zaliczyć do niegrzecznych dzieci, którym odbiera się zabawkę za karę. Przekonamy się zresztą, jak to jest naprawdę! Na razie przyjmujemy, ją do swego grona i życzymy, by czuła się w nim dobrze.

Dla „Przedwiośnia", „Dumki", „Czarnego Hajduczka" i „Wieszczki kwiatów" przesyła serdeczne bardzo pozdrowienia oraz dla całej „Krainy" uśmiechy.

Pozdrawiam Panią i proszę o adres!

POZDROWIENIE Z POZNANIA OTRZYMAŁAM

„Bianka". Pozdrowienie z Poznania — miasta, które darzę największym sentymentem z wszystkich miast polskich — otrzymałam i bardzo, bardzo za nie dziękuję. Co do „Czarnego Hajduczka", podzielam zdanie Pani. Znam Go bowiem z fotografii, wprawdzie maleńkiej, ale wystarczającej,a by wyrobić sobie należyty sąd o tej kochanej, ślicznej dziewczynce. Łączę dla Pani, „Bianko", jak również dla „Czarnego Hajduczka" — miłe pozdrowienia i uściski.

LIST ZARAZ WYSŁAŁAM

„Aramis". Po otrzymaniu adresu — zaraz list Panu wysłałam. Ciekawam, czy przyniósł on Panu coś ciekawego, coś takiego, co miło natchnęło do życia i wplotło w nie dawno oczekiwane nadzieje. Czy napiszę mi Pan coś o tym? Doprawdy ucieszę się, jeżeli tak będzie!

NIE GNIEWAM SIĘ...

„Dafne". Nie mogłabym pogniewać się na Panią, bo nigdy nie gniewam się na ludzi, którzy podchodzą do mnie tak bezpośrednio i serdecznie, jak to właśnie Pani uczyniła. O, „Dafne", jak w ogóle można było coś podobnego pomyśleć!

Premię, w postaci pięknej książki kucharskiej, otrzymają tylko te Panie, które opłaciły prenumeratę „Mojej Przyjaciółki" za okres trzech miesięcy.

Adres Pani — zapisałam. Dziękuję!

Na zakończenie — przedrukowuję dopisek z listu Pani:

„Zbijcbruku poznański", przez kult, jaki mam dla Poznania, najmilszego miasta Wielkopolski, czy mogę prosić Cię o kilka słów?

„Steni z Ina" i „Blance" — ślę miłe pozdrowienia"!

DZIĘKUJĘ!

„Lniana". Dziękuję Ci za nadesłanie adresu. Ciekawa jestem, czy też korespondujesz już z kimś miłym z „Rodzinki" — napisz mi to. A w ogóle, to postaraj się już szybko nadesłać ten obiecany kilometrowy list.

Pozdrawiam Cię mile i przekazuję „Krainie" słowa serdeczności od Ciebie.

DO:

„Feni znad jezior". Za miłą wzmiankę o moich wierszach serdecznie dziękuję. Zapytuję się, czy mógłbym poprosić o podanie mi dokładnego adresu — celem bliższej wymiany słów. Mój adres — Poznań 1. „Poste restante". Pozdrawiam Panią!

J. Baranowski

CAŁĄ KRAINĘ POZDRAWIAM SERDECZNIE

„Czarny Hajduczek" Proszę mi donieść, czy Pani przebywa w Poznaniu i czy można do Niej napisać pod post.-rest. Poznań 1. W imieniu kogoś... proszę o odpowiedź! Całą Krainę pozdrawiam serdecznie.

J. Baranowski

DZIĘKUJĘ!

„Czarny Hajduczek". Dziękuję Ci, Kochana, za pozdrowienia przesłane dla nas przez Ciebie i „Przedwiośnie" z Poznania. Sądzę, że dobrze bawiłyście się tam i że zadowolone jesteście z osobistego poznania się. Napisz mi proszę obszerniejszy list i odpowiedz, jak Ci się powodzi ostatnio.

Pozdrawiam Cię serdecznie i posyłam dobry uśmiech!

KOCHANEJ „MAŁEJ KONWALIJCE" W ODPOWIEDZI

„Mała Konwalijka". Kochanie, jak to dobrze, że znalazłaś znowu cichy, przytulny dom, w którym ludzie uśmiechają się do Ciebie życzliwie. Powinnaś cieszyć się z tego, bo przecież Twoja pozycja życiowa jest szczęśliwa, o wiele szczęśliwsza np. od Kaji. Czyż tak bardzo trudno zdobyć się na odrobinę radości, Maleńka? Uśmiechnąć się do życia, ludzi, do mnie w listach?... Piszesz mi, że masz ochotę poświęcić się pracy dla dobra drugich, zrezygnować z własnego szczęścia i pójść drogą ustawicznych ofiar i samozaparcia. A czy starczy ci sił, czy postanowienie Twoje nie jest czasem nastrojem chwili? „Mała Konwalijko", czy pomyślałaś nad tym? Jeżeli nie, to namyśl się głęboko, bo z drogi na którą chcesz wejść, już nigdy się nie wraca. Pamiętaj!...

Smutno Ci w życiu i tęskno — ale nie tylko Tobie. Tylu ludzi szarpie się wewnętrznie bezsilnie i tylu ludzi modli się o własne szczęście i tyle ludzi umiera nie zaznawszy tego szczęścia. Któż temu winien? Nie ludzie, nie życie, ale siły wyższe, od nas niezależne, jakieś prawo nieubłagane, które istniało od początku świata i istnieć będzie. Tak, „Konwalijko", nie trzeba z niczego rezygnować i myśleć o rzeczach zbyt wielkich i ciężkich do wypełnienia, dla tego tylko, że nie spełnia się w życiu żaden cud i nie przychodzi szczęścia, o którym się śni przez długie lata.

Jeżeli uważasz, że zrozumiałam Cię źle i intencje Twoje potraktowałam może trochę niesprawiedliwie — napisz mi. W ogóle pisz mi wszystko, co bezpośrednio Ciebie dotyczy i uśmiechnij się do mnie od czasu do czasu. Bo uśmiech powinien być stałym towarzyszem młodości i promieniować wokół z takich ładnych, dobrych twarzyczek, jaką Ty posiadasz.

A teraz parę Twoich komunikatów pod adresem tych, którzy szczerze Ci są oddani i których darzysz prawdziwą sympatią:

„Nitram", bardzo byłabym Panu wdzięczna za nadesłanie zdjęcia, które otrzymać... powinnam!...

„Czarny Hajduczku" i „Blanko", wzruszyły mnie Wasze pozdrowienia, nadesłane z Poznania.

„Biała Uajali", ufaj, wszystko będzie dobrze.

„Maruto", Twe serce nigdy nie zawodzi. Dziękuję za serdeczność, którą okazałaś Kaji.

„Konwalio", „Różyczko II" i „Juwenalis" — przyjmijcie ode mnie dużo pozdrowień.

P. P. Płóciennikowi, Baranowskiemu, Tomaszewskiemu, Czekalskiemu — uznanie za piękne utwory.

Kochanej „Białej Uajali" i P. Mszczyckiej" — moc serdeczności".

„WUJCIO JANUSZ — TO CZŁOWIEK, O KTÓRYM TRUDNO POMYŚLEĆ BEZ DRŻENIA

„Czarna Rysia". Osóbka Pani zainteresowała mnie ogromnie. I pewna jestem, że tak samo zainteresuje Sympatyków „Krainy". Zwłaszcza, gdy przeczytają poniższe wyjątki z P. liściku: „Gdyby ktoś z „Krainy" zechciał do mnie napisać, ma odpowiedź zapewnioną. Rozchmurzę nawet najbardziej zasępione czoło. Z pesymisty starałabym się zrobić optymistę — słowem chciałabym przysporzyć smutnym dużo radości. Każdy ból jest dla mnie świętością i umiem go odczuć. Piszcie więc do mnie, Kochane Dziewczynki i Drodzy Przyjaciele! Ryzyko nie zawsze zawodzi!"

I ja tak myślę! Do dzieła więc! Ale przed tym, nim zabierzecie się do pisania listów, posłuchajcie Mili Sympatycy jeszcze, jak wypadł w interpretacji „Czarnej Rysi" — Wujek Janusz:

„Wujcio Janusz? O tym człowieku nie mogę pomyśleć bez drżenia. Okropny krytyk, bezlitosny, ale tylko pozornie, bo ten Pan ma wcale złote serce. Jak mamusia, która po łapkach zbije, a później żałuje i całuje, ba! nawet cukierkami raczy. Tylko, że Pan Janusz nie po łapkach bije, tylko zbija na „kwaśne jabłko" niefortunne dzieła adeptów Muzy".

No, wyobrażam sobie minę Wujka Janusza, gdy przeczyta powyższe słowa Pani. Niewątpliwie rozpromieni się, jak słońce. I nie będzie to zresztą nic dziwnego, bo trudno nie uśmiechnąć się, gdy ktoś tak słodko posmaruje serce miodem. W tej myśli całuję Panią, „Czarna Rysieńko" i proszę o dalsze listy.

NIE MIAŁAM ZAMIARU!

„Mała Renia z Kolna". Doprawdy nie miałam zamiaru pominąć Pani lub w jakikolwiek sposób zlekceważyć, dając Jej krótszą odpowiedź, niż innym Sympatykom. Stało się to poprostu bezwolnie, tak jakoś odruchowo i nic więcej! Bo przecież lubię Panią podobnie, jak i innych moich Przyjaciół i chętnie zawsze odpowiadam na Pani liściki. Wszak wierzy mi Pani, prawda?

Na Gwiazdkę życzę Pani, Mała, Słodka Dziewczynko, spełnienia wszystkich życzeń — tych przedgwiazdkowych. Niech Gwiazdorek będzie dla Pani hojny i dobry!

Komunikaty zamieszczam:

„Zadumana Dusiu", pozdrawiam Cię i ściskam serdecznie.

„Czarnooka Irko", a może napiszesz do mnie?...

Halo! „Pat"! Jeżeli Pan napisze do mnie — zrewanżuję się ładnym liścikiem.

„Marylko z Wągrówca", kto jesteś? Miasto, w którym mieszkasz, znam doskonale. Napisz do mnie proszę!"

KTO ZAPROSI W GOŚCINĘ?

„Jesienny Wicher". Bardzo serdecznie życzę Panu miłych odzewów na poniższy apel:

„Oj, to już niedługo Gwiazdka! Trudno więc nie pomyśleć, czy Gwiazdor będzie bogaty. Coś mi się zdaje, że będzie hojny i obdarzy mnie stalowym rumakiem t. j. motocyklem. Z tej też przyczyny pragnę poznać kogoś, do którego będę mógł z wiosną wyruszyć w gościnę. Może więc odezwie się ktoś do mnie? Tymczasem zaś pozdrawiam wszystkich „Krainiaków", a szczególnie z powiatów chodzieskiego, czarnkowskiego i wyrzyskiego.

Halo! Młynkowo! P. P. K. czy Pani jest także czytelniczką „Moich Powieści"?

CHĘTNIE...

„Tu Aldek". Nie, Miły Chłopcze — nie tylko Pan musi długo oczekiwać odpowiedzi. Obecnie załatwiam listy z października i jestem zadowolona, że już doszłam tak daleko. W zeszłym numerze były odpowiedzi jeszcze za sierpień. Aż dziwnie było chwilami czytać o tym, że kwiaty śmieją się w ogródku, że tu lub ówdzie ieszcze się kąpią, zażywając ostatnich dobrodziejstw lata, podczas gdy tu już dawno ogrzewa się pokoje i na ulicach spaceruje się w futrach. Sam niech Pan powie, czy to nie dziwne?

Nie gniewam się absolutnie za to „obarczacanie" — chętnie uczynię tyle dla Pana.

Pozdrawiam i zasyłam miły uśmiech.

Teczka Wujka Janusza

WIECZORNĄ PORĄ...

Wieczorną porą, gdy zmrok już zapadnie,
I ziemię otuli w szarawe mgły,
Tak jakoś w domu jest cicho i ładnie,
Bo przy kominku ze mną siedzisz Ty.
I płyną marzenia w nieznaną nam dal,
Uśmiechem szczęścia wieńcząc dziś skroń,
Bo się rozpłynął w mgle smutek i żal,
Dziś idziem w życie razem dłoń w dłoń.
Za nami pozostał dziwaczny lęk,
Tej niepewności jakiejś straszny cios,
Bowiem już w jeden piękny zlał się dźwięk,
Nasz wspólny życia los. —
Jedno wyraźnie w duszy naszej drga,
Jak akord pieśni — jak zefiru wiew,
To miłość subtelna i czysta jak łza,
To szczęścia naszego zew.

Ludomiła Szajrańska.

PYTASZ MNIE

„Te — Em". Tak, Mój Chłopcze, z przyjemnością dam Twoje pełne nazwisko pod Twoją nowelę — już wkrótce ukaże się w druku. „Wakacje mego stryja" pójdą na przyszły rok — na razie nie jest to wszak aktualne.

Teraz druga sprawa, mianowicie Twego przyjazdu do Żnina. Spodziewałem się, że przyjedziesz na pewno, no, ale nie ułożyły Ci się sprawy — więc może przyjedziesz kiedy Ci będzie wygodniej. Najciekawiej prezentuje się nasze miasto w lecie. Wówczas zieleni tu dużo i wydęte żagle u łodzi i kajaków wesoło bielą się na szmaragdzie wód naszych dwóch jezior.

Pytasz mnie Pan, Drogi Chłopcze — czy wziąłem pod uwagę Twoje żądanie ukazania Wam wszystkim swego cnego oblicza na zdjęciu umieszczonym w „Krainie". Nie, mój „Te — Em'ie" — nie chciałbym tego, a Wy wszyscy, Drodzy Moi „Krainiacy" — nie pogniewacie się chyba na mnie za tę maleńką odmowę?

No, „Te — Em'ie — życzę Ci nowych pomysłów i natchnień do nowel i przechodzę do Twoich komunikatów:

Halo, p. Dusiu! Przepraszam, że na razie nie spełnię prośby Pani i swego przyrzeczenia, ale są po temu ważne powody. Zrobię to później.

Pana Mietka Grzegorskiego zapytuję o powód milczenia. Czyżby ta fotka tak Go nastroiła?... Zarazem donoszę mu, że na razie przerywam korespondencje z pewnych powodów.

„Boluś" jakoś dziwnie zachował się w ostatnie wakacje. Tylko nie wiem dlaczego? Czyżby to zgadzało się z Pani charakterem. Sądzę, że to się nie powtórzy, gdy jeszcze raz zjawię się w M...?

„Śmieszki z Pomorza" prośbę postaram się spełnić.

GDYBY...

„Kora". Z nadesłanych wierszyków mógłby istotnie powstać pokaźny tomik, gdyby nie... „gdyby"... Bo cóż się okazało po przejrzeniu Pani utworków. Otóż, że wszystkie są miłe, miejscami niezwykle błyskotliwe, jednakże zupełnie pozbawione rytmu. Z tej też przyczyny wierszyki Pani nie pójdą do druku. Poza tym, jeżeli mam być szczerym, radzę Pani zrezygnować z dalszego pisania wierszy. To nigdy bowiem nie dałoby Pani zadowolenia, a przeciwnie ustawiczne rozczarowania. Ślę Pani bardzo serdeczne pozdrowienia i czekam na wiadomość, czy wierszyki przesłać Pani, czy też wrzucić do kosza.

PRZYPUSZCZAM...

„Tu — Aldek". Ucieszyła mnie wizyta Pana w moim dziale. Trochę mniej jednak wierszyki Pana, które są i miłe i uczuciowe, jednakże bardzo słabe w formie. Krytyka moja wypadła nieco surowo, ale szczerze, więc przypuszczam, że nie pogniewa się Pan na mnie i znowu kiedyś skreśli kilka słów do nieznośnego zrzędy — Wujka Janusza.

Raj kobiet

Skok ze spadochronem — warunkiem do ślubu

Niezwykły warunek do uzyskania ślubnego urlopu postawiono uczniowi szkoły lotniczej w Moskwie. Kiedy przed ostatnim świętem 20-stolecia zwrócił się do dowództwa o wcześniejsze zwolnienie go do domu, celem załatwienia formalności przedślubnych, szef szkoły postawił mu jako warunek wykonanie pierwszego w życiu skoku z wysokości 800 metrów. Wyczyn ten był w programie naukowym, jednak uczeń, mając złe przeczucie, starał się go odwlec.

W dniu wyjazdu na urlop, uczeń melduje się do wykonania skoku. Zakłada spadochron, zajmuje miejsce w samolocie za pilotem i leci. Wysokościomierz wskazuje już 1500 m. Czeka na zniżenie lotu i znak pilota. Diabelnie długo to nie następuje.

Uczeń zaczyna się niecierpliwić. Po dłuższym czasie następuje znak do skoku. Odrywa się od kadłuba maleńka kula i leci ruchem jednostajnie przyśpieszonym w dół. Kilkadziesiąt metrów nad ziemią rozwija uczeń spadochron. Widzi, że z pobliskich domów biegną ludzie w jego stronę. Ach, poznaje... Wszak to rodzinna wieś, a dookoła znajome twarze sąsiadów...

Po szczęśliwym wylądowaniu lotnik udał się już bez przeszkód do narzeczonej, z miłości do której zdecydował się na pierwszy skok.

Jak malują się artystki do występów telewizyjnych

Charakteryzacja osób w kinematografii jest sztuką bardzo skomplikowaną. Wygląd twarzy artystów filmowych ucharakteryzowanych do zdjęć, bywa nieraz wręcz groteskowy. Jest to jednak konieczne ze względów technicznych, gdyż twarze nieucharakteryzowane wcale lub nieodpowiednio wyszłyby na zdjęciach blado i „niefotogenicznie".

Sprawa ta ma jeszcze większe znaczenie w telewizji, która ma wiele wspólnego ze sztuką filmową. Charakteryzacja artystów grających w studio telewizyjnym musi być przewidziana (przestudiowana) do najdrobniejszych szczegółów. Poważne artystki i eleganccy aktorzy oglądani na ekranie odbiornika telewizyjnego wyglądają w rzeczywistości podczas zdjęć, jak dzikusy ucharakteryzowane do uroczystości rytualnych.

Wyobraźmy sobie np. kobietę, która ma usta fioletowe, nos ciemno - żółty (pomarańczowy), dziurki od nosa jasno - czerwone, jasno żółte policzki, zielone powieki, no i czarne brwi i rzęsy.

Tak jednak musi być umalowana artystka występująca w studio telewizyjnym, gdyż tego rodzaju dobór kolorów jest najbardziej odpowiedni ze względów technicznych. Aparat telewizyjny potrafi bowiem w takich warunkach najlepiej odtworzyć szczegóły rysów twarzy.

Znajomość doboru odpowiednich kolorów przy zdjęciach telewizyjnych datuje się jednak od bardzo niedawna. W niedalekiej przeszłości



Od lewej do prawej mamy następujące toalety balowe:

Wytworna suknia wieczorowa z brokatu, uszyta podług najnowszych wskazań mody. Do niej okrycie z fioletowego aksamitu, obramowane lamą koloru starego złota.

Sortie wieczorowe z jedwabiu lub brokatu — jako uzupełnienie sukni stylu Empire.

Piękna suknia wieczorowa z czarnego jersey-chiffon, uchwycona w górnej partii w tak modne obecnie drapowanie.

Toaleta z srebrzystego jedwabiu lub wzorzystej organdyny o niezwykle oryginalnym kroju.

Elegancka suknia wieczorowa z czarnego crêpe satin, w paśie i u dekoltu przybrana drapowanym aksamitem.

robiono np. w Paryżu doświadczenie z nowym systemem nadajnika telewizyjnego t. zw. inoskopem Zworykina. Próbowano nadawać scenę baletową, w której występowało kilka tancerek ubranych w eleganckie toalety. Wynik doświadczenia był jednak wręcz nieoczekiwany. Oto na ekranach odbiorników telewizyjnych tancerki ukazały się nie ubrane. Stało się to na skutek szczególnej wrażliwości aparatury telewizyjnej na promieniowanie podczerwone, podczas gdy suknie tancerek okazały się dla tego promieniowania całkowicie przejrzyste.

Obecnie jednak poznano już sposoby „zabarwiania" przedmiotów dla wszelkiego rodzaju promieni, to też niespodzianki podobne do opisanej nie zdarzą się chyba więcej.

Czy wiecie, że...

...łyżeczka wody niszczy 5 milionów żarówek? Na podstawie badań przeprowadzonych w laboratoriach jednej z największych kompanii elektrycznych na świecie wilgoć posiada niebywałe znaczenie dla trwałości i wytrzymałości żarówek. Podobno jedna kropla wody jest w stanie zniszczyć 68.000 żarówek. Zawartość jednej stutysiącznej części pary wodnej w stosunku do całkowitej ilości gazu zawartego w żarówce, powoduje, że żarówka taka natychmiast staje się niezdatną do użytku. Łyżeczka wody może zniszczyć 5 milionów żarówek. Z tego wynika, jak dokładnie muszą być suszone gazy, którymi żarówki są napełniane. W porównaniu z tą suszą pustynia Sahara jest niebywale mokra.

* * *

...pewien fotograf holenderski w Hadze wpadł na oryginalny pomysł. Pomysł ten przypomina nieco dawne lalki, mówiące w kółko „mama" i „tata". Zamiast lalek jednak, bierze ów fotograf zdjęcia prawdziwych żyjących ludzi, umieszcza na odwrotnej stronie coś w rodzaju małego gramofonu, który powtarza jedną nagraną przez tych ludzi krótką płytę. Te szczególne gadające fotografie mają ogromne powodzenie, zwłaszcza u młodych, zakochanych par.

* * *

...Amerykę Północną ogarnęła nowa mania towarzyska. Polega ona na zakładaniu klubów cierpliwości. Członkowie tych klubów ćwiczą się nieustannie w rozwiązywaniu rozmaitych sztuczek, polegających na rozplątywaniu węzłów, wyjmowaniu sczepionych pierścieni i t. p.

* * *

...w Gorlicach istnieje stary zegar na wieży ratuszowej, który od roku 1253 śpieszy się o siedem minut. Nikt jednak nie myśli o przesunięciu wskazówek, gdyż błąd ten datuje się od pewnego historycznego zdarzenia. W tym mieście, 1253 roku szajka spiskowców postanowiła zgładzić ojców miasta. Ktoś, kto dowiedział się o tym spisku, przesunął umyślnie wskazówki zegara o siedem minut, by wprowadzić w błąd spiskowców i ułatwić ich ujęcie.

Na pamiątkę tego faktu zarząd miasta Gorlice nie przesuwa wskazówek na właściwe miejsce.

* * *

...Pies awansował na sierżanta? Słynny, wojskowy pies Jigges II otrzymał awans. Został bowiem oficjalnie mianowany sierżantem armii Stanów Zjednoczonych za wybitne zasługi położone na polu ratownictwa.

DOBRA GOSPODYNI

Pierniki cukrowe. Ugotować gęsty syrop z pół kilo cukru, do ostudzonego syropu wbić 8 jaj, wsypać pół kilo pszennej mąki, trochę cynamonu, goździków, pomarańczowej skórki, wetrzeć skórkę z jednej cytryny, dobrze wybić ciasto, porobić małe pierniczki i piec w papierowych formach.

Pierniczki bardzo polecane. Szklankę miodu, szklankę cukru i 2 żółtka razem utrzeć dokładnie w misce, ubić pianę z dwóch białek, 5 szklanek mąki, półtorej łyżeczki sody rozpuścić w ciepłej wodzie, skórkę cytrynową razem z mąką na stolnicy zamieszać Wycinać małe pierniczki i układać niezbyt blisko siebie.

Piernik wykwintny. Zrumienić lekko 25 dkg miodu z 25 dkg cukru, wrzucić 25 dkg siekanych migdałów, wmieszać tłuczone korzenie: 8 goździków, 1 laskę cynamonu, parę ziarn pieprzu, trochę cytrynowej i pomarańczowej skórki, następnie 1 i pół dkg potasu, rozpuszczonego w pół szklance gorącej wody i trzy całe jaja, ubite z łyżeczką sody. Wymieszć dobrze ciasto na stolnicy i upiec dopiero za parę dni.

Ciastka czekoladowe. Utrzeć do białości 8 żółtek z 1/4 kg miałkiego cukru, wsypać 12 dkg grubo posiekanych migdałów, 1/4 kg tartej czekolady i 12 dkg mąki, którą wsypać równocześnie z pianą z pozostałych białek i wmieszać lekko. Nabierać tej masy w tubkę z papieru i wyciskać na blachę wysmarowaną masłem stożkowate ciasteczka, posypać je cukrem i wstawić do letniego pieca na 20—25 minut.

Ciastka cynamonowe. Utrzeć na pianę 1 kg masła, zamiesić z 3 jajami, 36 dkg cukru, pół kg mąki i dodać półtora dkg cynamonu i na koniec noża tłuczonych goździków. Wałkować, wykrawać i upiec.

Mazurek kruchy. Kwartę dobrej mąki zagnieść z 1/4 kg niesolonego masła, dodać ćwierć kg cukru, a gdy ciasto wskutek wyrabiania zacznie odstawać od rąk, wbijać po jednym 4 żółtka, dodać wanilii dla zapachu, pianę ubitą na sztywno z 4 białek, a na ostatku ćwierć kg obranych ze skórki i grubo pokrajanych migdałów. Rozłożyć ciasto na cal grubości na posmarowanej masłem blasze, posmarować z wierzchu roztopionym masłem i wsadzić w bardzo lekki piec na godzinę.

Mazurek drożdżowy. 1/8 kg drożdży zalać 1 litrem mleka, domieszać 75 dkg mąki i przykryte ciasto postawić w cieple, by rosło, 15 jaj wybić do rondla z 70 dkg cukru i bić miotełką na cieple, aby się wygrzały, wlać do ciasta, posolić i dodać startą skórkę z jednej cytryny, oraz zapachy do ciast, jakie kto lubi. Mąki dosypać tyle, aby ciasto było tęgie, wlać klarownego masła 70 dkg i cykaty. Wywałkować placek półtora cm gruby, włożyć na blaszkę wysmarowaną masłem, posmarować jajem rozbitym, i ubrać według upodobania w kwadraty, usiekanymi migdałami, rodzynkami i sułtankami. Tak przybrany mazurek musi wyrość; wsadzając go do pieca niezbyt gorącego, przykryć papierem, aby owoce za bardzo nie wyschły.

Mazurki marcepanowe. Utrzeć w donicy z szklanką cukru i jednym białkiem 3 filiżanki siekanych migdałów słodkich i kilka gorzkich, dodać trochę wanilii, 3 białka i znów trzeć; wsypać szklankę cukru, dwa białka ubite i trzeć do białości. Pod koniec ubić pianką z 2 białek, wymieszać z masą i nałożyć na opłatki, wstawić w piec, polukrować. Można też układać masę w kraty, a pomiędzy nie kłaść po upieczeniu konfitury i galarety. Piec w ciepłym piecu, aby się zarumieniły.

Tort orzechowy. Utrzeć 8 żółtek, 25 dkg cukru, 25 dkg orzechów włoskich, wmieszać lekko pianę z białek i posypać przesianą bułką. Upiec w dwóch tortownicach w niezbyt gorącym piecu. Do ubitej śmietany dodać 25 dkg cukru, wanilię, 25 dkg tureckich orzechów zielonych i przełożyć tą masą zimne krążki.

Tort piaskowy. Ćwierć kg masła utrzeć na pianę, potem dodawać po jednym 5 jaj i ćwierć kg cukru po łyżce na przemian. Wkońcu dodać ćwierć kg mąki, łyżeczkę wanilii lub otartą skórkę z cytryny. Wlać do wysmarowaanej masłem wysokiej tortownicy, na wierzchu kłaść suche konfitury z wiśni i piec w umiarkowanie gorącym piecu. Przez pierwszy kwadrans nie zaglądać do pieca, bo opadnie. Wyrasta zwykle do podwójnej wysokości. Wyjąć, kiedy odstaje od brzegów.

Lech T. Trafankowski, Poznań.

Dzieje szarego życia

NOWELA

Gwiazdeczki śniegu padały leniwie na twardą skorupę zmarzniętej ziemi, okrywając ją białym płaszczem śniegowym.

Głodne ptaszki siedzące na zbielałych gałązkach drzew świergotały żałośnie, jakby chciały wyprosić u rzadkiego przechodnia okruszynę chleba. Świergotały jednak na próżno, gdyż biedna to była okolica.

W oddali ukazała się niewyraźna postać idąca drogą z miasta.

Był to bezrobotny Bartłomiej Dusik. — Szedł wolno nie zachwycając się wcale pięknym widokiem jaki roztaczał się dookoła niego.

Twarz jego miała zrezygnowany wyraz, a oczy głęboko zapadnięte patrzyły bezmyślnie w ziemię.

Raz po raz tylko wyciągał z kieszeni sine od mrozu ręce i chuchał w nie mocno.

Skręcił z drogi i znalazł się wreszcie przed nędzną lepianką.

Dawniej tu widocznie był jakiś spichlerz, dziś jednak była to straszna rudera.

Wybite szyby były pozatykane deskami, niektóre zaś miejsca lepianki, były pokryte zwisającymi kawałami papy, przybitej naprędce.

Bał się wejść do chaty. — Bał się tych wyczekujących spojrzeń żony i dzieci.

Ocknął się wreszcie i pociągnął za drzwi, przymocowane do chałupy kawałkami skóry.

Gdy wszedł, buchnął na niego zapach wilgoci i stęchlizny. W zbitym z desek łóżku leżały dwie o jasnych czupurnych, wynędzniałe postacie dzieci. W rogu łóżka siedziała skulona postać żony Dusika.

Skierowała swój tępy i wyczekujący wzrok na męża.

Wnet jednak spuściła smutnie głowę, wyczytała bowiem w jego twarzy całą odpowiedź.

— I znów nic! — powiedział.

— Jak zawsze — odpowiedziała cichym szeptem.

Spojrzała na dzieci i łzy rozpaczy zakręciły się w jej oczach i spłynęły po pięknej kiedyś a dziś już wynędzniałej twarzy.

— Żeby tylko dzieciom chociaż dać jeść — pomyślała.

Martwiło ją to, że tak wcześnie musiały poznać nędzę.

Dusik sięgnął do kieszeni wyjął z niej gdzieś użebrane pięćdziesiąt groszy i podał je żonie. Na myśl o tym, że pierwszy raz w życiu musiał żebrać, czarna rozpacz owładnęła jego duszą.

Cóż, kiedy codziennie chodził, szukał pracy i jak zawsze — naprózno. Nie mógł znieść przykrego widoku i wybiegł z chaty.

Z łóżeczka podniósł się starszy chłopczyna Jurek i przytulając swe zmarznięte ciałko do wychudłej postaci matki rzekł.

— Mamusiu!, nie płacz. Bóg się zlituje nad nami. On o biednych zawsze pamięta. Pomódlmy się lepiej do niego. — To mówiąc, pociągnął mamusię za rękę i poczęli się modlić.

— — — — — — — — — — —

Wysłuchał Bóg widać ich modlitw bo natchnął małego Jurka pewną myślą.

Jurek pamiętał dobrze, że ojciec pracował niedaleko stąd w pewnej fabryce jako ślusarz. Nosił wszak z matką nieraz śniadanie ojcu. Później ojca zredukowali wraz z tylu innymi. Od roku już nie pracował. Początkowo żyli ze skromnych oszczędności przeznaczonych na czarną godzinę. Wnet jednak wszystko się wyczerpało i przyszedł dzień, że nie było co jeść.

Malec postanowił tedy pójść do dyrektora owej fabryki i błagać go o ratunek.

Podniósł się rano wcześniej z nędznego posłania i ubrawszy się, włożył stary połatany płaszczyk i wyszedł.

Zatrząsł się poczuwszy na całym ciele dotkliwe zimno. Na wspomnienie jednak o nędzy i łzach matki, wyprostował się i zaciskając rączyny ruszył w drogę do fabryki. Coraz rzadziej mijały go postacie robotników — „tych nielicznych szczęśliwców" — jak w myśli określał śpieszących do pracy.

Stanął wreszcie przed fabryką. Odszukał drzwi z napisem „Biura" i wszedł nimi do środka. Słaby tu był jeszcze ruch, bo nikt go jakoś nie zauważył. Wiedział bowiem, że gdyby go tutaj zauważono, zostałby wyrzucony za drzwi jako żebrak.

Posuwając się zwolna wzdłuż szeregu drzwi, przeczytał na jednych z nich.

— Naczelny Dyrektor — wstęp wzbroniony. Tutaj odwaga na chwilę go odstąpiła. Wtem usłyszał zbliżające się z końca korytarza kroki. Nacisnął na klamkę i wszedł do pokoju. Owionęło go błogie ciepło. Za biurkiem siedział starszy mężczyzna o zbielałych włosach. Na skrzypnięcie otwieranych drzwi uniósł głowę i wstając spojrzał ze zdumieniem na chłopczynę.

— Tu nie biuro wydawania jałmużny! krzyknął i wyciągając z kieszeni monetę chciał dać ją chłopcu, mówiąc:

— Masz i wynoś się.

Jurek jednak ręki nie wyciągnął.

Zastanowiło to dyrektora. Podszedł do chłopca i spytał.

— Czego chcesz?

— Ja.... Ja.... przyszedłem prosić o pracę dla mego ojca! wyszeptał dzieciak i rozszlochał się nagle. Wzruszyło to bardzo dyrektora. Posadził chłopczynę na fotel i spytał.

— Jak się nazywasz?

— Dusik! odpowiedział przez łzy.

Dusik.... Dusik? to jakieś znajome nazwisko. Wnet sobie przypomniał. To jego zredukowany pracownik, to ten którego majstrowie tak chwalili za pilność.

— No nie płacz już,— powiedz kto ciebie tu przysłał?

Jurek urywanymi słowy opowiedział o nędzy w domu i o tym, że postanowił sam przyjść prosić o pracę dla ojca. Opowieść Jurka wzruszyła dyrektora bardzo. Otarłszy swą chustką zapłakaną twarz chłopczyny rzekł:

— Nie płacz! wszystko będzie dobrze!

Podszedł do biurka i napisał coś na kartce, po czym wręczył ją chłopcu ze słowami:

— Daj to tatusiowi i powiedz żeby jutro przyszedł z tą kartką do fabryki. Będzie przyjęty do pracy.

Jurek porwał rękę dyrektora, okrywając ją gorącymi pocałunkami.

A w kącikach oczu dyrektora zakręciły się łzy, łzy radości i zadowolenia w poczuciu spełnienia dobrego uczynku.

To udane współczucie bardziej jeszcze rozzłościło Augustę. Opadła więc panią Willemer na nowo swoim ordynarnym językiem, gdy wtem przerwał jej aptekarz, nakazując milczenie i skłoniwszy się zarządczyni odezwał się w te słowa:

— Niech pani wybaczy, żem tak bez ceremonii wszedł do tego pokoju. Jedynym moim usprawiedliwieniem jest kochające serce ojcowskie. Nie mogłem doczekać się chwili, aby zobaczyć znów swoją wychowankę i dlatego odważyłem się wejść tu niezameldowany za Augustą.

— Nie rozumiem pana — rzekła pani Willemer — mówi pan o jakiejś wychowanicy, która tu ma być, jak się ona nazywa?

— Ida Steinert! — odpowiedział aptekarz prędko.

— Żadna z naszych pacjentek tak się nie nazywa, rzekła pani Willemer spokojnie — to musi być jakaś omyłka.

— Żadna omyłka — wtrąciła się znów Augusta — Ida Steinert przyjechała tu z Jetką Friedrich, a pani przyjęła tu tę dziewczynę, która potajemnie z domu opiekuna swego uciekła. Niech się pani uniewinni z tego postępku przed panem Haiem! Bo pani wtargnęłaś w jego prawa!

— Milczeć! — krzyknęła pani Willemer rozkazująco — z taką osobą ja nie mówię ani słowa, a zwróciwszy się do aptekarza, dodała:

— Co mi pan ma do powiedzenia?

— Pani dobrodziejko! — rzekł Hai z nadzwyczajną uprzejmością — proszę pozwolić, że się najpierw przedstawię i sprostuję wielką pomyłkę. Jestem aptekarz Hai i opiekun Idy Steinert.

Muszę też zaraz wystąpić w jej obronie. Augusta powiedziała bowiem, że ona jest lekkomyślna, a to tak nie jest, bo gdyby ona nie była wzorem cnót i uczciwości, to jedyny syn mój nie byłby się tak na zabój w niej zakochał!

— Nonsens! — mruknęła Augusta — mężczyźni nigdy w cnocie się nie kochają.

Aptekarz rzucił jej ostre spojrzenie i opowiadał spokojnie dalej:

— Mała sprzeczka z moją żoną spowodowała Idę do ucieczki z naszego domu. Źli ludzie wpłynęli na nią i nabuntowali ją przeciwko nam tak, że ona się od tego czasu ani słówkiem do nas nie odezwała. Ale my jej wszystko przebaczamy, przyjmiemy ją znowu w nasz dom z otwartymi ramionami i syn nasz ma zamiar niezwłocznie się z nią ożenić.

Pani dobrodziejce zaś, nie tylko że nie robię wyrzutów z jej postępowania względem Idy, ale przeciwnie, gorąco pani dziękuję za opiekę, którą pani wychowankę moją otoczyła. Proszę panią usilnie zaprowadzić mnie zaraz do Idy, abym ją mógł uścisnąć!

Pani Willemer popatrzyła na aptekarza z lekkim uśmiechem, a potem odpowiedziała spokojnie z miną wielkiej damy:

— Powiedziałam panu już raz, że się pan myli; nie ma tu w zakładzie żadnej panny Steinert.

— Może pani zaprzeczy, że panna Steinert przyjechała tu z tą starą szwaczką do sanatorium? — wrzasnęła znów dozorczyni — to jest bezczelność! Ja mogę panią przekonać, że to kłamstwo!

Pani Willemer zignorowała zupełnie Augustę i obrażające, ordynarne jej słowa,



W Japonii robotnice fabryczne w chwilach wolnych od zajęć przechodzą przymusowe szkolenie wojskowe.

a zwróciwszy się do Haia rzekła z powagą:

Stara szwaczka nasza, Jetka Friedrich, przywiozła tu wprawdzie młodą dziewczynę jako pomocnicę ze sobą, ale ja nie wiem, jak ona się nazywała. Nie troszczyłam się zupełnie o jej prywatne stosunki i odprawiłam ją, skoro tylko robotę swą skończyła.

Słysząc to Hai, zbladł śmiertelnie i zaczął drżeć na całym ciele.

Był już tak pewnym swojej rzeczy, myślał, że Idę w triumfie do domu sprowadzi, a wtem nastąpiło to straszne rozczarowanie!

Augusta jednak nie dała się zbić z tropu; nie mogła ona z tak lekkim sercem zrezygnować z obiecanej nagrody. Toteż krzyknęła znów:

— Ona tu była i jest jeszcze tutaj! Ja już dojdę prawdy!

To mówiąc wybiegła z pokoju i udała się wprost do kuchni, gdzie zastała Szarlotę, stojącą obok kucharki.

— Gdzie jest panna Ida? — krzyknęła wlatując jak bomba.

— Jezus, Maria! Skądeś ty się tu wzięła, Gusto! — zawołały obie równocześnie.

Nie zważając jednak na ich pytanie, tupnęła eks-dozorczyni gniewnie nogą i powtórzyła po raz drugi:

— Gdzie jest panna Ida?

— Oho, dawno już stąd wyjechała! — odpowiedziały obie obojętnie.

— Dokąd wyjechała? — spytała Augusta zirytowana.

— Wróciła do Wiednia, do Jetki — rzekła jedna z nich.

Usłyszawszy to, wybiegła eks-dozorczyni znów z kuchni i zatrzasnęła drzwi za sobą.

— Ona jest u Jetki — krzyknęła aptekarzowi z daleka — jedźmy na powrót do Wiednia!

— Niech się pan nie daje zmylić fałszywymi informacjami — rzekła pani Willemer — bo wątpię bardzo, czy ta skromnie, biedno nawet ubrana szwaczka może być identyczna z wychowanką pańską! Jest to prawie wykluczone!

— Czy nie byłaby pani tak dobrą opisać mi dokładnie tę szwaczkę, która przybyła tu w towarzystwie Jetki? — prosił Hai.

— Nigdym się tej dziewczynie bliżej nie przypatrzyła — odparła pani Willemer — nie umiem panu nawet dokładnie powiedzieć, czy ona jest blondynką, czy brunetką!

— Ma ona śliczne, czarne oczy! — rzekła Augusta głośno.

— Czy miała ona rzeczywiście czarne oczy? — spytała pani Willemer dozorcy, który zawsze stał jeszcze w pokoju gotów na każde jej skinienie.

— Zdaje mi się, że niebieskie — odpowiedział on wahająco.

— Zmówiliście się tu wszyscy, aby mnie pozbawić mej nagrody! — zawołała Augusta zjadliwie.

— Jeżeliś liczyła na nagrodę, toś się grubo przeliczyła — mruknęła pani Willemer i postanowiła zmylić zupełnie aptekarza, aby Auguście zepsuć interes.

— Szanowny panie — rzekła ona uprzejmie — aby się panu przysłużyć i sprawę tę wyjaśnić, zwołam całą służbę zakładu, dla przesłuchania.

Równocześnie zadzwoniła i kazała zgromadzić się całej służbie.

Zjawili się oni wkrótce gremialnie, zdziwieni tym niezwykłym wezwaniem, a pan Hai zaczął ich kolejno przesłuchiwać, pytając ich się o wygląd szwaczki.

Zeznania ich jednak; jak to mądra Willemerka przewidywała — tak były sprzeczne, że aptekarza bardziej jeszcze zmyliły.

Jeden utrzymywał, że miała niebieskie oczy, drugi znów zapewniał, że one były brązowe, trzeci, że szare. I tak było ze wszystkimi innymi punktami.

Pan Hai nie wątpił już teraz, że go Augusta wyprowadziła w pole i mścił się na niej tymczasowo, rzucając jej gniewne i groźne spojrzenia.

Może kto z was wie, jak się ta młoda szwaczka nazywała? — zapytała znów pani Willemer.

— Tak — rzekła jedna z dozorczyń — nazywała się ona Ida Schumann.

Willemerka spojrzała triumfująco na Haia.



Do Londynu przybyło kilkanaście młodych Szwedek z okazji obchodu dnia św. Łucji. Na zdjęciu widzimy młode Szwedki w strojach narodowych.

— Widzi pan — rzekła — że miałam słuszność utrzymując, że owa szwaczka nie mogła być wychowanicą pańską!

— Chodźmy do Jetki, tam ją z pewnością zastaniemy — zawołała Augusta — niech się pan nie daje zmylić, panie aptekarzu!

— Niech pan jeszcze idzie do Jetki — radziła Willemerka — aby się naocznie przekonać, że był pan na fałszywym tropie. Zawsze jest lepiej mieć zupełną pewność.

— Jeszcze jedno pytanie — rzekł Hai — czy ona była blada?

— Nie, była ona rumiana jak róża — odpowiedzieli teraz wszyscy chórem.

Ta odpowiedź zbiła z tropu już aptekarza zupełnie. Ida była bowiem bardzo bladą, będąc pod „Złotym Aniołem", a pan Hai nie przypuszczał, że ona przy lepszym odżywianiu, mogła nabrać żywych kolorów.

— W takim razie to stanowczo nie była ona — rzekł aptekarz — niech mi pani łaskawie wybaczy subjekcję, którą pani sprawiłem.

Ukłonił się nisko i wyszedł z pokoju.

Augusta wycedziła przez zęby jakieś przekleństwo. Była w stanie pozaduszać wszystkich ze złości i z trudnością tylko stłumiła w sobie bezsilną wściekłość.

— Jedziemy natychmiast do Jetki? — zapytała ona biegnąc za aptekarzem.

— Nie dam dłużej robić ze siebie durnia — ofuknął ją Hai — dość, że straciłem całe popołudzie! A koszta dorożki odciągnę sobie z tygodniowej płacy Augusty!

— Przeze mnie! — zawołała panna Stölzel — jeżeli pan nie chce za nią szukać, to ja to uczynię! Jadę natychmiast do Jetki!

— To mnie mało obchodzi — ofuknął ją Hai — ale ja nie dam z siebie dalej durnia robić!

Wsiadł szybko do dorożki, Augusta zajęła milcząc miejsce naprzeciw niego i woźnica popędził konie.

Ledwo przybyli do Wiednia, wysiadła Augusta i najęwszy drugą dorożkę, pojechała do Jetki. Zastała starą szwaczkę przy robocie.

— Gdzie pani podziała Idę Steinert, panno Jetko! — zapytała dozorczyni wchodząc do izdebki.

Jetka popatrzyła na nią z dobrze udanem zdziwieniem i odpowiedziała:

Nie znam żadnej panny Steinert, znam tylko Idę Schumann, która była moją pomocnicą, ale niedawno odjechała ze swo im narzeczonym do Ameryki. Ja zaś tak jestem obciążona robotą, że nic już więcej przyjąć nie mogę.

— Gdzie panna Schumann mieszkała przed wyjazdem? — spytała Augusta.

— Nie pamiętam — odpowiedziała Jetka niedbale.

Wracając od niej, starała się Augusta jeszcze w kamienicy coś o Idzie dowiedzieć, a że jej sie to nie udało, wróciła z bardzo głupią miną do domu pod „Złotym Aniołem", którego wszyscy członkowie żyli w gorączkowym oczekiwaniu.

Hania i Terenia odetchnęły lżej, gdy zobaczyły, że Hai sam wraca; pani Hai zaś wprost szalała ze złości i z rozczarowania. Ona się już tak w duchu mściła na Idzie, a tu...

— Czyś się rzeczywiście przekonał, że ona nie była w sanatorium? — spytała.

— Naturalnie — zapewniał ją Hai — ta dziewczyna, która tam z Jetką była, jest blondynką, ma niebieskie oczy i bardzo rumianą cerę. Co to za przeklęta idiotka, ta Augusta! Tak mnie zmylić!

— A jaka ona była pewna swojej rzeczy! — złościła się pani Hai — że się też na tych ludzi nic a nic spuścić nie można! Odpłacę ja się tej oślicy za jej kłamstwa!

Gdyby oni przeczuwali, jak słuszne były przypuszczenia Augusty!

ROZDZIAŁ CCXXXIII.

Przed trybunałem

Sala sądowa była przepełniona, bo oczekiwano bardzo zajmującej rozprawy.

Oskarżeni są dwaj notoryczni oszuści. Jednego z nich widzimy na ławie oskarżonych, jest to znajomy nasz, mister Tulliwer.

Z drugiej strony znów poznajemy dwie postacie kobiece w grubej żałobie. Są to, jak się łatwo domyśleć można, Inez i Fidez Snob. Loża świadków zaczyna się zapełniać.

Sędziowie przysięgli złożyli właśnie przysięgę, sędzia przewodniczący usiadł na swoim miejscu. Odczytano oskarżenie. Był to długi spis grzechów, zbrodni i oszustw, popełnionych wspólnie z drugim jakimś łotrem.

Oskarżony był James Tulliwer, alias Frydoryk Howard, alias Jack Cavandish, którego właściwe nazwisko było Ned Buttler.

Na wzmiankę tego plebejuszowskiego nazwiska jęknęła jedna z kobiet w żałobie.

Były kelner Buttler oskarżony był wraz ze ślubną swą żoną, Sarą Buttler, urodzoną Pummy, o kradzieże u swego szefa. Sara Buttler odsiedziała swoją karę, Ned zaś uciekł do Irlandii, gdzie pod przybranym nazwiskiem popełniał najrozmaitsze oszustwa i ożenił się po raz drugi z młodą dziewczyną, córką zamożnego kupca. (Tu Inez Snob krzyknęła przeraźliwie i zemdlała). Gdy Ned Buttler, który tu przebywał pod przybranym nazwiskiem Fitzgeralda strwonił majątek młodej swej żony, uciekł od niej z resztkami jej mienia, zostawiając nieszczęśliwą swą ofiarę bez pieniędzy i skompromitowaną. Potem wrócił do Londynu jako sir Peter Welsley i umiał tu wkręcić się do wyższych sfer towarzyskich i wyrobić sobie duży kredyt. Wyzyskawszy go należycie, znikł z Londynu zostawiwszy kolosalne długi i narzeczoną, u której rodziców, zamożnych mieszczan, także wielką sumę pożyczył.

Przez długi czas nic o nim nie było słychać, aż wreszcie zjawił się on znów w Paryżu pod nazwiskiem Mr. Jack Cavendish i miał tym razem przy sobie brata. Uchodzili tu za stępców pewnej irlandzkiej fabryki płótna i przyjąwszy w wielu domach handlowych obstalunki i zadatki, znikli z metropolii francuskiej.

Fabryka Coner i Rice z Dublina, której zastępcami się mienili, zaskarżyła oszustów, ale policja nie mogła ich w żaden sposób wynaleźć.

Niedługo potem przybył do Bath niejaki pan Fryderyk Howard, który był bardzo podobny do Neda Buttlera. Kupił sobie tu dom, urządził się ładnie i kosztownie i chciał zostać wybranym do rady gminnej. Ponieważ utrzymywał, że pochodzi z bardzo bogatej rodziny z Yorkshire żaden z kupców nie żądał od niego zapłaty gotówką. Wreszcie po upływie pewnego czasu, wyjechał pan Fryderyk Howard nagle z Bath, a dom, który z takim przepychem umeblował został pusty, gdyż właściciel sprzedał przedtem wszystkie swoje (niezapłacone jeszcze) drogie meble, malowidła i srebra do Londynu.

Po tej ostatniej sztuczce wydawał się Buttlerowi grunt angielski przecież trochę niebezpieczny. Zwiał więc do Rzymu, gdzie wystąpił pod arystokratycznym nazwiskiem Tulliwer i uchodził za syna księcia Sommersethira. Tu też, jak już wiemy, udało mu się złowić bogatą miss Inez Snob, trzecią swą żonę. Dostawszy jej posag w ręce i wyłudziwszy u teściowej swej jeszcze jej własny majątek, uciekł znów

z Paryża, zostawiwszy tam obie kobiety nota bene bez pieniędzy.

Złoczyńca popełnił jednak tę bezczelność i nieostrożność, że zachował nazwisko Tulliwera i w Brukseli, dokąd w towarzystwie jednej damy uciekł z Paryża.

Dama ta, która uchodziła tu za panią Tulliwer, była znaną kokotą z paryskiego półświatka, niej. panna Fifi. Pokłóciwszy się pewnego razu ze swoim kochankiem, zadenuncjowała go, a sama znikła.

Po przeczytaniu tego oskarżenia, nastąpiło przesłuchanie świadków.

Pierwsza była Sara Buttler, ur. Pummy. Ukazała się ona w więziennym ubraniu i z krótko ściętymi włosami. Ordynarna i ponura twarz jej nosiła ślady złych namiętności i zbrodniczych czynów. Złożywszy przysięgę, zeznała, że oskarżony jest rzeczywiście jej mężem Nedem Buttlerem, który razem z nią popełnił kradzież, za którą ona dotychczas jeszcze siedzi w więzieniu.

Drugim świadkiem był dawny pryncypał Buttlera, właściciel przedmiejskiej, bardzo podejrzanej knajpy. Poznał zaraz swego dawnego kelnera, Neda Buttlera i przypomniał sobie nawet małą bliznę tegoż na szyi, która mu została z jakiejś bijatyki.

Trzecim z rzędu świadkiem była jakaś nędznie wyglądająca kobieta, jedna z tych, które Buttler poślubiał a następnie opuszczał, gdy już posag miał w ręku. Wzbudziła ona ogólną litość, a złożywszy cichym głosem zeznanie, zakończyła tymi słowy:

— Nie chcę aby go za mnie karano, chodzi mi tylko o to, aby nie unieszczęśliwiał innych dziewcząt tak, jak mnie zniszczył!

Potem nastąpiło jeszcze przesłuchanie kilku kupców z Bath i Londynu, u których Buttler pod nazwiskiem Welsley'a lub Howarda brał na „kredyt" cenne towary.

Wreszcie przyszła kolej na Inez Snob i jej matkę, które się we łzach rozpływały. Inez nie mogła przeboleć, że i ją aresztowano, i mimo, że za wstawieniem się prawdziwego księcia Sommersetshira wnet na wolność wypuszczoną została, skarżyła się jednak jeszcze i teraz na tę niesprawiedliwość.

Lecz sędzia zgromił ją za to.

— Proszę nie zapominać — rzekł poważnie — że pani stoi tu jako świadek i jako strona występująca przeciw oskarżonemu, a nie przeciwko sądowi, któremu pani nic nie ma do zarzucenia.

Oskarżony wymienił panią jako współwinną i dlatego musiano panią uwięzić, ale skoro się tylko przekonano o jej niewinności, wypuszczono panią na wolność. Czegoż więc pani chce więcej? A teraz niech pani odpowiada na moje pytania:

— Czy poznaje pani w oskarżonym człowieka, którego poślubiła pani pod nazwiskiem James'a Tulliwera?

— Tak jest, panie sędzio! — rzekła Inez ze szlochem.

— I żyła pani z nim jako jego żona? — pytał dalej sędzia.

— Niestety, tak! — zawołała nieszczęśliwa, załamując ręce.

— Czy on panią i materialnie ukrzywdził? — było następne pytanie.

— Zabrał i strwonił cały mój posag 50.000 funtów szterlingów! — skarżyła się Inez, a nadto wyłudził jeszcze majątek mojej matki i mając go w ręku, uciekł i opuścił mnie.



W Anglii zmarł stary indyjski czarodziej Linga Lingh. Życzeniem zmarłego było, ażeby wszelkie rekwizyty potrzebne do wykonywania praktyk czarodziejskich spalono po śmierci.

Buttler rzucił na nią spojrzenie pełne szatańskiego szyderstwa i złośliwej radości. Zdawało się, jakoby triumfował, że udało mu się złamać życie tej, która mu tak była niesympatyczną.

Spostrzegłszy ten diabelski wzrok Jamesa na sobie, krzyknęła Inez przeraźliwie i padła na ziemię. Wyniesiono ją ze sali sądowej nieprzytomną.

Pani Snob, matka Inez, potwierdziła świadectwo córki co do joty, i zakończyła przesłuchanie szeregu świadków w tej sprawie zawezwanych.

— Co pan może powiedzieć na swoje uniewinnienie? zapytał sędzia Buttlera.

— Nic, panie sędzio! — odpowiedział tenże apatycznie.

— Czy się pan przyznaje do wszystkich zbrodni, o które pana oskarżają? — było następne pytanie.

— Tak jest panie sędzio! — odparł znów Buttler obojętnie.

Widocznie uznawał, że zaprzeczeniem tylko los swój pogorszy, i przyznał się do wszystkiego, myśląc, że to jest jeszcze w jego położeniu najkorzystniejsze.

W imieniu jego ozwał się obrońca, który jednak wobec otwartego zeznania Buttlera, mógł jeszcze tylko dodać kilka okoliczności łagodzących i to bardzo słabych i niewystarczających.

Teraz przewodniczący zabrał głos.

— „Moi panowie! — rzekł po krótkiej przedmowie, w której raz jeszcze podkreślił święty obowiązek najściślejszej sprawiedliwości — widzimy tu przed sobą złoczyńcę niezwykłych zdolności, który jest tym karygodniejszy, że tych darów natury nie zużywał dla dobra ludzkości, lecz jako jej nieprzyjaciel.

Ned Buttler pochodzi z najniższych warstw społecznych. Zaniedbywany przez matkę swą, pijaczkę, stanął bardzo wcześnie o własnych siłach. Zarabiał sobie na chleb roznoszeniem gazet, mleka i muzykowaniem na ulicy. Gdy podrósł, dostał się jako pomocnik do pewnego fryzjera, u którego jednak długo nie wytrzymał. Odszedłszy stamtąd przyjął służbę u jakiegoś wielkiego pana, ale i tę stracił prędko z powodu swej nierzetelności. Odtąd wałęsał się przez długi czas między szumowinami społeczeństwa londyńskiego i w tym właśnie okresie swego życia ożenił się ze Sasą Pummy, znaną i karaną już przedtem złodziejką. Pod jej to wpływem popełnił Buttler na spółkę z nią pierwszą swą zbrodnię tj. włamanie u właściciela tej knajpy, w której był kelnerem. Sarę złapano i uwięziono, Buttlerowi zaś udało się uciec za skradzione pieniądze do Irlandii i grać tam rolę wielkiego pana. Dziwne to, jak ten człowiek, pochodzący z najniższych warstw, i obracający się dotychczas prawie wyłącznie między łotrzykami i włóczęgami, mógł grać rolę „gentlemana" tak, że nikt o szlachectwie jego nie wątpił.

Od tej pory zaczyna Buttler swą karierę oszusta na wielką skalę. Ujmującą swą powierzchownością i bezczelną blagą omamia on pannę May Wetherburn, osobę z dobrej i poważnej rodziny, i żeni się z nią, mimo, że wie doskonale, iż to małżeństwo, wobec żyjącej jeszcze pierwszej jego żony jest nieważne i że on pannie tym postępkiem życie łamie. To go jednak nie odstrasza od bigamii. Składa przed ołtarzem przysięgę wierności, nie z miłości, a tylko przez chciwość. Nie chodzi mu o osobę panny Wetherburn, tylko o jej posag. Mając posag jej w ręku, wszczyna ni stąd ni zowąd kłótnię i znika nagle. Biedna kobieta, która myśli, że jest jego żoną, szuka go i znajduje wreszcie w Londynie pod innym nazwiskiem. Rzuca się nędznikowi do nóg i błaga go, aby wrócił do niej i do dziecka, które wkrótce ma przyjść na świat. Na tę prośbę odpowiada on jej dzikim, szatańskim śmiechem i wyznaje z cynizmem całą prawdę. Drwi sobie jeszcze z niej, i radzi aby go zaskarżyła, jeśli chce swą własną i dziecka swego hańbę obwieścić całemu światu. Zrozpaczona kobieta nie czyni tego dla miłości swego dziecka i jak długo ono żyje, znosi

milcząco zniewagę. Dopiero po śmierci tego biednego robaka, występuje ze skargą przeciwko łotrowi, który tak bezwzględnie zwichnął jej młodę życie.

„Moi panowie! Zdaje mi się, że li tylko za tę jedną zbrodnię oskarżony zasłużył by rzetelnie na dożywotnie więzienie z najcięższą pracą. I to jeszcze byłoby za małą karą za to moralne morderstwo, które popełnił na uczciwej, cnotliwej dziewczynie, skazując ją na życie pełne rozpaczy i sromu. Jak małymi wydają się inne jego zbrodnie wobec tej jednej, sprzeciwiającej się wszystkim religijnym, etycznym i socjalnym prawom i zasadom. Czemżeż jest kradzież i szachrajstwo wobec bigamii, i to wobec podwójnej bigamii! Oskarżony popełnił bowiem drugi raz tę samą zbrodnię i to znowu wobec uczciwej panny z poważnej rodziny. Tą drugą ofiarą jego łotrostwa jest panna Inez Snob. Powtarza się raz jeszcze ta sama procedura. Żeni się z nią, wyłudza jej i matki jej majątek i ucieka z nim, zostawiając obie kobiety w nędzy i rozpaczy. Podwójna bigamia! Wobec tego nikną wszystkie inne jego oszustwa, o których już nawet nie wspominam. Jako karę zaś proponuję dożywotnią deportację oskarżonego do Botany-Bay".

Grobowa cisza zapanowała w sali, gdy sędzia skończył. Wszyscy obecni wzruszeni byli nieszczęściem biednych ofiar i oburzeni bezczelnością i nieludzkością zbrodniarza.

Oskarżony zachowywał się podczas mowy sędziego zupełnie apatycznie; przez chwilę tylko zdawał się być w śmiertelnej obawie, lecz gdy usłyszał, że sędzia proponuje dożywotnią deportację, zabłysły mu oczy nową nadzieją. Bał on się widocznie tylko kary śmierci!

Sędziowie przysięgli zebrali się na naradę. Po porozumieniu się ich, przewodniczący ogłosił wyrok:

Ned Buttler skazany jest na 25-letnią deportację do Botany-Bay!

Złoczyńca przyjął ten wyrok apatycznie i dał się spokojnie wyprowadzić. Teraz zakończył sędzia posiedzenie, ogłaszając na następny dzień rozprawę przeciwko Jackowi Hotts, który swoje łotrostwa popełniał pod przybranym nazwiskiem Wilfred Waker.

Sądzę, że wystarczy krótki opis tej drugiej rozprawy.

Znany nam pod nazwiskiem Wakera, Jack Hotts miał niemniej burzliwą przeszłość od swego przyjaciela i wspólnika. Urodził on się w więzieniu, gdzie matka jego odsiadywała karę. Potem przyjęto zaniedbanego chłopaka do domu sierót. Rygor zakładu nie służył mu jednak, dlatego uciekł stamtąd pewnego pięknego dnia i przyłączył się do jakiejś bandy złodziejskiej, z którą wspólnie wykonywał kradzieże i włamania. Przyłapany na gorącym uczynku został skazany na kilkuletnie więzienie. Ledwie odsiedział swoją karę i wyszedł na wolność, popełnił znów dużą kradzież, której łup wystarczył mu przez dłuższy czas na sute życie. W tym czasie przyjął arystokratyczne nazwisko Wakera. Spostrzegłszy, że śledzi go policja, uciekł do Paryża, gdzie się spotkał z Buttlerem. Odtąd złączyli się i wykonywali na spółkę szlachetne swe rzemiosło, pod nazwiskiem braci Cavendish. Gdy i w Paryżu już dość nabroili, rozłączyli się znów. Jack Hotts wrócił do Londynu. Tu, aby się wydostać z nędzy, ożenił się z Molly Tifer, osobą bardzo złej reputacji, która go na razie utrzymywała. Po jakimś czasie okradł ją Hotts i uciekłszy od niej, żył po kolei we wszystkich większych miastach Anglii i Francji. Przyswoiwszy sobie eleganckie maniery, występował wszędzie w roli bogatego szlachcica i również jak Buttler popełniał pod tą maską niezliczone oszustwa, biorąc głównie na kieł łatwowierne wdówki i stare panny, u których wyłudzał wielkie sumy pieniędzy, obiecując, że się z nimi ożeni. W południowej Francji zszedł się Jack Hotts raz jeszcze z Nedem Buttlerem. Udali się stąd razem do Rzymu, gdzie im się udało się wkręcić do rodziny Snob. Wiadomo nam, że Waker, udając, że jest synem hrabiego Bogshoot'a, ożenił się z panną Fidez Snob, a wiedział dobrze, że żona jego jeszcze żyje.



Ślub hrabiego Douglasa z księżniczką Elżbietą Percy położył kres odwiecznej nienawiści między rodami Douglasów i Percy.

To byli ci arystokratyczni mężowie, z których dobra pani Snob taka była dumna: zbrodniarze, oszuści, karani przestępcy! Próżność panien Snob straszliwie była ukarana. Odrzuciły one niejedną dobrą partię, bo ambicja ich szukała za tytułami i wyższą sferą towarzyską. W pogoni za tymi marnościami i błahostkami świata, straciły szczęście, dobre imię i prawie cały majątek i ściągnęły na siebie wstyd, hańbę i zmartwienie.

Jedynym zadośćuczynieniem za złamane życie, było, że Jack Hotts wraz z Nedem Buttlerem skazani zostali na 20-letnią deportację do Botany Bay.

Europa uwolniona była na długi czas od dwóch niebezpiecznych zbrodniarzy.

ROZDZIAŁ CCXXXIV

Pogrzeb Indianki

Blady księżyc oświecał gęsty las dziewiczy, do którego schronił się Leon, uciekając ze zwłokami Kudii przed chciwą krwi hordą indiańską. Z trudem torował sobie drogę przez gęstwinę drzew.

Coraz słabiej słyszał wycie pijanych Winebagów, coraz większa przestrzeń dzieliła go od pola walki i mordów...

Wreszcie usłyszał za sobą kroki. Oglądnął się i zobaczył niewyraźne zarysy goniących za nim dwu postaci. Pierwszą myślą jego było, że to Rudy Lis za nim biegnie, aby mu odebrać ciało Kudii i zemścić się na nim.

Złożył więc ciało pięknej Indianki na ziemię i stanął przed nim w obronnej pozie, z postanowieniem bronienia go, do ostatniej kropli krwi. Lecz głos, który usłyszał, uspokoił go.

Ciąg dalszy w nast. numerze.

CHWILA ZASTANOWIENIA

Łamigłówka

ul. „Ka - Jot", Grudziądz

1	2	3	4	5	6	7	8	9

Wpisać pionowo: 1) imię męskie 2) port eur., 3) ptak, 4) imię żeńskie, 5) port eur., 6) odważny jest...?, 7) miasto powiatowe, 8) miasto eur., 9) imię męskie.

Naznaczone pola dadzą rozwiązanie.

Wizytówki

ul. „Ka - Jot" — Grudziądz

K. Rawok

E. Czysok

Jan Skoçat

Jan Lengard

H. Garecowent

Gdzie mieszkają właściciele biletów?

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek.

Rozwiązania należy nadsyłać do środy, dnia 22 grudnia br.

Rozwiązanie zadań z nr. 49 „Moich Powieści:" Konikówka: „Niejeden niewiele nam pomoże jako przyjaciel, ale bardzo wiele zaszkodzi jako nieprzyjaciel".

Domyślanka: „Źle jest, gdy człowiek musi znosić nieszczęścia, ale gorzej, gdy one go lepszym nie czynią".

Św. Grzegorz.

Trafne rozwiązania nadesłali pp.: Walczak K. — Tczew, Zielińska Maria — Tczew, Kiełpiński Ludwik — Bydgoszcz, Wroński Jan — Poznań, Namysłówna Pelagia — Ciechów, Lenart Tadeusz — Rakowice, Bultrowicz Wacław — Gniezno, Sikorska Lucyna — Żytno, Kujawa Teodor — Janów.

Nagrody w drodze losowania przypadły p. p.: Zielińskiej z Tczewa i Wrońskiemu z Poznania.

ADAM CZEKALSKI

11)

Milion w złocie

POWIEŚĆ

— Otóż pojedziesz do niej, oddasz jej list, opowiesz, jak byłem chory i zaczekasz na odpowiedź. A gdy tylko list dostaniesz, najbliższym pociągiem wracaj z powrotem.

— Rozkaz, panie poruczniku! Już ja tam ani sekundy nigdzie nie zabawię.

— No to idźże przygotować się do drogi, a ja zatelefonuję o przepustkę dla ciebie do dowództwa i napiszę list.

Żymełka stuknął w obcasy i pędem pomknął do kuchni. Tymczasem Stadnicki, załatwiwszy dowód podróży dla ordynansa, zasiadł do pisania listu. Ale tu stało się znowu coś takiego, czego Stadnicki zrozumieć nie mógł i w trakcie pisania listu nawet nie zdawał sobie z tego sprawy. Oto zapadł jak gdyby w trans, miał takie wrażenie, że to nie on pisze list, ale ktoś drugi, ten ktoś obcy, wrogi, nienawistny, ten ktoś tajemniczy, kto w pewnych fazach jego życia odgrywał tak kolosalną rolę, panował nad jego mózgiem, kierował jego myślami.

Ale tym razem, jak wielokroć przedtem, porucznik nie zdawał sobie wcale z tego sprawy, przeciwnie — miał wszelką świadomość, że to on sam pisze ów list, że to on sam wodzi piórem po papierze. Dopiero gdy list podpisał, gdy go zapieczętował w kopercie i powstał, doznał takiego wrażenia, że głowa mu się coś kręci, a przed oczyma przesuwają się przedziwnie subtelne mgiełki.

— Jestem jeszcze bardzo osłabiony po chorobie — rzekł półgłosem — trzeba wypocząć, wyjechać gdzie, może do Zakopanego?

— Jestem gotów, panie poruczniku! — rozległ się naraz głos Żymełki w progu.

— Ach, to ty, Żymełka?

— Na rozkaz, panie poruczniku!

— Masz tu list, tu dowód podróży, a tu pieniądze na drogę. Tylko pamiętaj, żebyś mi wszystko tak załatwił, jak ci to powiedziałem.

— Może pan porucznik mi zaufać.

— No, to z Bogiem. Pamiętaj, chłopcze, że będę cię wyczekiwał z każdym pociągiem, który przybywa z Łodzi.

Ordynans zasalutował, odwrócił się na pięcie i opuścił mieszkanie. Stadnicki czuł się bardzo osłabionym, wobec czego położył się na kozetce i podłożywszy ramiona pod głowę i przymknąwszy oczy — zadumał się.

A ordynans Żymełka, wypadłszy na ulicę, wskoczył do pierwszego nadjeżdżającego tramwaju i pojechał na dworzec główny. Szczęście nadzwyczajnie mu sprzyjało, bo zaledwie zdążył wykupić bilet i wskoczyć do pociągu, ten ruszył już w drogę ku Manchesterowi. Podróż odbył spokojnie, a po przybyciu do Łodzi, nie gapiąc się nigdzie, pojechał z dworca prosto do mieszkania Krupińskich. Na dzwonek przy drzwiach, otworzyła mu Marysia i uradowana, się ogromnie.

— Ach, pan Żymełka! — zawołała, wpuszczając żołnierza do przedpokoju.



Kobieta z Darandug (Abisynia) zajęta przesiewaniem kawy abisyńskiej.

— A toć ja, sikorko, toć ja — odrzekł wesoło — to ładnie z twojej strony, że mnie pamiętasz tyle czasu. Toż to już blisko rok, jak ostatni raz tu byłem u was.

— Równe dziesięć miesięcy minęło, panie Żymełka.

— Panie starszy, panie starszy, sikorko, nie widzisz belki na moim ramieniu. Ale mniejsza o to, powiedz mi, panno Maryś, czy panienka w domu?

— To pan pewnie od pana porucznika?

— A tobie co do tego, od kogo jestem? Dość, że jestem i mam ważną sprawę, służbowo jestem, można powiedzieć, pojmujesz, nadobna Meluzyno?

— O, to pan dzisiaj ważny?

— A pewnie, że ważny, ale nie marudź, no idź do panienki i powiedz, że przyjechał „służbowo" z Warszawy ordynans Żymełka Melchior, pojmujesz?

— Pewnie, — obruszyła się Marysia.

— No, to chodaj, chodaj, siostrzyczko!

Marysia zniknęła za drzwiami, a Żymełka został w przedpokoju. Mimochodem zerknął w lustro i poprawił na sobie mundur, a nim zdążył dokonać przeglądu całej swej postaci, w drzwiach stanęła panna Lila.

— Szanowanie panience — dygnął komicznie Żymełka — ja do panienki służbowo, można powiedzieć, w bardzo ważnej sprawie.

— Ach, to pan, bardzo proszę, pozwól pan dalej.

Ordynans poszedł za Lilą do pokoju i tutaj dopiero zaczął szukać gdzieś głęboko pod mundurem dobrze ukrytego listu porucznika. W końcu wydostał go i podał drżącej z radości „panience".

— Oto jest, proszę pani, oto jest... Pilnowałem go jak oka w głowie, aby mi się gdzie nie zawieruszył.

Maleńka rączka Lili porwała kopertę jak najcenniejszą, a bardzo upragnioną zdobycz i trzask dartego papieru oznajmił zaambarasowanemu nieco Żymełce, że „Panienka" rozerwała kopertę i zaczyna go czytać. Ordynans stał na miejscu w postawie służbowej i uważnie teraz obserwował Lilę i — pojąć nie mógł, coby jej się stać mogło. Przecież gdy wyjeżdżał, pan porucznik był w tak dobrym humorze; że nie mógł w żaden sposób napisać w tym piśmie nic nieprzyjemnego, a tymczasem panienka taka wzburzona.

— Żymełka! — rzekła w końcu Lila, spoglądając na ordynansa wzrokiem, który chłopcu omal łez z oczu nie wycisnął, tak bardzo był żałosny.

— Rozkaż, proszę panienki.

— Czy pan porucznik bardzo chory?

— Iii... cóż znowu, trochę jest jeszcze słaby, ale wcale nie chory. Przeciwnie, ostawiłem go w domu w bardzo dobrym humorze.

— I nie był zmartwiony?

— Wcale. Był wesół i gwarzył ze mną więcej niż kiedykolwiek, a tak się cieszył, że nareszcie będzie mógł znowu napisać do panienki po chorobie.

Lila nic nie pojmowała.

— Pan porucznik nawet dużo o panience mówił — skłamał Żymełka, chcąc w jaki sposób rozchmurzyć liczko bardzo dzo czymś przejętej panienki.

— Mój panie Żymełka — ozwała się Lila — tu zaszło jakieś straszne dla mnie nieporozumienie, bo list pana porucznika jest innym, zupełnie innym, niż mogłabym przypuszczać z tego, co wy mi powiadacie.

— Mój Boże, czy list ten zawiera co nieprzyjemnego? — zmartwił się ordynans, szczerze przejęty smutkiem „panienki", dla której miał duży sentyment i uważał ją za część wspólnej własności, nazywając w chwilach pogodnych, wesołych rozmówek z porucznikiem „naszą panienką".

Lila nie odpowiedziała, ale ścisnęła głowę mocno dłońmi.

— Idźcie do kuchni, panie Żymełka, i posilcie się, czym po tak dalekiej podróży — powiedziała następnie i zadzwoniwszy na Marysię, kazała jej zająć się Żymełką. Zostawszy sama, długo siedziała bezwładnia na krześle, po czym poszła do matki i pokazała jej list.

— Nic nie pojmuję — odrzekła pani Ewa na to. — Więc zrywa z tobą? Ponawia zerwanie wyrażone już w swoim czasie przez Borowicza. I dlaczegóż? Dlaczegóż? Czy zaszło coś takiego między wami, o czym ja nie wiem, córuś? Powiedz mi, kochanie, wyznaj wszystko...

— Ależ nic podobnego, mamo! — zaprotestowała Lila. — Najmniejszy dysonans nie zakłócił doskonałych naszych stosunków. Pamiętasz przecież ten dzień, kiedy Jurek przyjechał do nas wezwany depeszą przez jakiegoś żartownisia — byliśmy wtedy jak najlepiej. A jednak, poszedł do Borowicza i, — wiesz, co po tym nastąpiło. Ja tego nie rozumiem, zupełnie nie rozumiem.

— A ja tym mniej, ale czekajno, kochanie, przeczytajmy ten list raz jeszcze, a może doszukamy się prawdy między wierszami.

Obie panie zaczęły czytać raz jeszcze ów fatalny list, z którym Żymełka pędził do Łodzi z taką radością.

„Liluś — pisał Stadnicki — przebacz zawód i ból serca, jaki ci sprawiłem. Ja muszę odejść od ciebie, powinienem odejść, aby uszanować wolę twojego ojca, który w testamencie, przedstawionym mi przez doktora Borowicza, przeznaczył cię na żonę jemu, zaklinając na wszystko, co masz drogiego w życiu, abyś wolę tę wypełniła. W przeciwnym razie zagroził klątwami, których ja — boję się... Wyda ci się to może



Nowy niemiecki wodnopłatowiec wywiadowczy, który zbudowano w zakładach Dornier. Szybkość do 340 km. na godz.

śmiesznem, prawda? Ale wierz mi, że nie należy nigdy żartować z przekleństw rodzicielskich. Dlatego odchodzę, odchodzę z bólem, że sprawiam ci tym ogromną przykrość. Ale wierz, tak będzie lepiej. Nie staraj się ani pisać do mnie, ani mnie widzieć. Występuję z wojska i wyjeżdżam. Nie zobaczysz mnie nigdy. Żegnaj moja Bajko o szczęściu, śniona od najwcześniejszej młodości. Jurek".

— Dziwny list, bardzo dziwny list — zauważyła pani Ewa. — Przyjrzyj się temu, jest jakieś inne, jakby wymuszone, jakby sztuczne.

— Może to list sfałszowany?

— Przecież przywiózł go ordynans pana Stadnickiego — to nie ulega wątpliwości, a nie mogę posądzać tego chłopca, o ile wiem, bardzo przywiązanego do swojego porucznika, aby dopuścił się jakiegokolwiek konszachtu z właściwym listem, jaki otrzymał od Jurka.

— I ja tak myślę, ale w takim razie — cóż to wszystko znaczy?

— Gdybym ja to wiedziała!

— Może by raz jeszcze wypytać ordynansa?

— Cóż on może wiedzieć? Co wiedział, powiedział mi już.

— Głowa może pęknąć... Każ Marysi zawołać jednak tego chłopca i zostaw mnie z nim sam na sam — ja sama z nim porozmawiam, a może dowiem się coś więcej.

— Dobrze mamo.

Po chwili w pokoju pani Ewy zjawił się Żymełka i wyciągnął się jak struna na progu.

— Szanowna pani chciała mnie widzieć?

— Tak, tak... Mój panie Żymełka — proszę, usiądź pan na chwilę...

— O, dziękuję, ja postoję — wymówił się ordynans.

— Usiądź pan, usiądź pan, porozmawiamy o pewnej sprawie, która bardzo nas obchodzi. Zatem... mój panie Żymełka, powiedzno mi pan, jak się pan porucznik czuje? Czy jest zupełnie zdrów, czy też — wciąż jeszcze jest chory?

— Ależ zdrów, prawie zupełnie zdrów! — zawołał Żymełka, nie rozumiejąc, dlaczego już po raz drugi pytają go dzisiaj o zdrowie porucznika.

— I nic mu nie dolega? Bywa wesół tak samo jak dawniej?

Żymełka zamyślił się na moment, po czym odrzekł wolno, jakby się ociągał:

— No, wie pani szanowna, wesół, to on teraz nie jest taki, jak bywał dawniej, miewa czasem smutne, bardzo smutne myśli, chodzi czasami zadumany tam i nazad po pokoju i coś mówi do siebie, ale żeby był chory, to wcale nie.

— Hm... ale jednak jest zamyślony, a dawniej takim nie był — powtórzyła pani Ewa i zamyśliła się na moment.

— O, to pewnie nic ważnego — podchwycił Żymełka — bo to, pani szanowna wie, ta sprawa, o którą pan porucznik był oskarżony, wiele zdrowia go kosztowała. Trzymali go w szpitalu samego i nawet mnie dopuścić nie chcieli do mojego porucznika.

Pani Ewa zdumiała się ogromnie, albowiem nic nie wiedziała o tym, jakoby Stadnicki był oskarżonym w jakiejkolwiek sprawie. Dlatego spytała zaraz:

— I o cóż to oskarżono pana porucznika?

— Dobrze, to ja, proszę szanownej pani nie wiem, ale tak mi coś wspominał kolega z szefostwa, że jakoby zginęły jakieś papiery i te papiery miał jakoby zabrać pan porucznik. Ale to było kłamstwo, bo teraz sprawę umorzyli i pan porucznik znowu jest wolnym i czystym. I tak musiało być, proszę szanownej pani, bo takiego uczciwego człowieka, jak nasz pan porucznik, to ze świecą szukać.

— No, a jak wam pan porucznik dawał ten list, coście go przywieźli tutaj, to co mówił?

— Był bardzo ożywiony, dużo ze mną rozmawiał i jakby się cieszył, że będzie mnie mógł znowu wysłać do Łodzi, jak dawno temu. I powiedział mi, proszę szanownej pani, żebym poczekał na odpowiedź i natychmiast wracał pierwszym pociągiem do Warszawy.

— Kazał wam poczekać na odpowiedź? — zdumiała się pani Ewa.

— Tak, proszę szanownej pani — przytwierdził skwapliwie Żymełka. — Kazał mi pan porucznik poczekać na odpowiedź i pierwszym pociągiem wracać do Warszawy i jeszcze powiedział dosłownie tak: „pojedziesz (powiada) do niej, to znaczy do naszej panienki, oddasz jej list, opowiesz jak byłem chory i zaczekasz na odpowiedź. A gdy tylko list otrzymasz, najbliższym pociągiem wracaj z powrotem".

— To ciekawe — powtórzyła w zamyśleniu pani Ewa — to ciekawe... — Po czym, zwracając się do Żymełki, dodała: — Idźcie sobie do kuchni tymczasem i powiedźcie Marysi, aby o was pamiętała, a tymczasem panienka napisze list.

Żymełka powstał, uderzył z fantazją w obcasy i oddalił się, a pani Ewa, prosiwszy do siebie Lilę, powiedziała jej o wyniku swojej rozmowy z ordynansem.

— Tu zachodzi jakieś niezwykłe i niezrozumiałe nieporozumienie, moje dziecko — rzekła. — Stadnicki kazał temu chłopcu poczekać na odpowiedź, a z treści jego listu wynika, że nie liczył on na nią i nie spodziewał jej się zupełnie.

— No tak, bo list ten jest przecież jakby ostatnim pożegnaniem.

— A właśnie, właśnie... Czekaj — powstała naraz energicznie pani Ewa — połączę się zaraz telefonicznie z Warszawą i zawezwę Stadnickiego do telefonu. Ostatecznie należy raz na zawsze wyjaśnić to wszystko. Skoro zrywa on z tobą z przyczyn na ogół tak bezsensownych, niechże przynajmniej nie każe jeszcze odpowiadać sobie na impertynencki list.

— Ależ mamo... — ulękła się energii matki Lila.

— Pozwól mnie działać, córuś, bo jeśli ja tego węzła gordyjskiego nie przetnę raz na zawsze, ta komedio-tragedia grana może być w dalszym ciągu kosztem twojego spokoju i zdrowia. A mam cię jedną na świecie... — dodała z dużą melancholią w głosie matka.

Lila nie próbowała już więcej oponować.

Zamówiona rozmowa długi czas nie mogła być uzyskana. Lecz pani Ewa zdobyła się na cierpliwość i postanowiła czekać choćby całą dobę, aby ostatecznie ze Stadnickim się rozmówić i wszystko wyjaśnić W końcu odezwał się przecież dzwonek telefonu i pani Ewa, pozamykawszy wszystkie drzwi do przedpokoju, usiadła przy telefonie.

W słuchawce rozległ się czyjś męski głos.

— Czy pan porucznik Stadnicki przy telefonie? — zapytała pani Krupińska, bo jej się wydało, że to czyjś obcy, nieznany jej głos.

— Tak jest, pani... Kto mówi? — usłyszała odpowiedź.

— Mówi Krupińska z Łodzi, ale... czy to rzeczywiście pan Stadnicki?

— Czy pani mnie nie poznaje? Tak, to ja, Jerzy Stadnicki.

Pani Ewa rzeczywiście nie poznawała głosu porucznika, bo głos ten był jakiś inny, jakoś inaczej brzmiał. Ale przyszło jej na myśl, że zmiana głosu u Jurka mogła nastąpić skutkiem przebytej niedawno

choroby, więc pozbywając się skrupułów, spytała znowu:

— Czy pan wysyłał ordynansa z listem do Lili?

— Tak jest — usłyszała krótką odpowiedź.

— I rzeczywiście pan zrywa dla przyczyn tak nieokreślonych i błahych?

— Tak jest, pani.

— Panie Jurku — zaczęła łagodniej pani Ewa — bardzo mi przykro, że pana interpeluję w tej sprawie, bo nie powinnam właściwie tego robić, ale pan rozumie... Lila jest jedyną moją pociechą, jedynym kochaniem, dla którego gotowa jestem wszystko uczynić, aby zapewnić jej lepszy udział w życiu, niż mój.

Urwała na chwilę, oczekując jakiegoś usprawiedliwiającego słówka, wytłumaczenia, ale porucznik milczał. Więc podjęła znowu:

— Więc pan zrywa — zrywa pan i nie próbuje nawet osłodzić przykrości zerwania, tak bolesnego dla Lili, a — śmiem sobie tuszyć równie i dla pana — żadną uwagą, choćby ona nawet była nieprawdziwą, żadnym wytłumaczeniem?

— Łaskawa pani, ja nie mam nic do wytłumaczenia — odrzekł porucznik tym samym łagodnym, ale gołębiego gruchania głosem, co panią Ewę najbardziej właśnie uderzyło i w tej chwili przyszło jej równocześnie na myśl: „gdzie ja słyszałam już podobny głos? Kto takim głosem przemawiał do niej i kiedy?"

— Nic pan nie ma do wytłumaczenia — powtórzyła spokojnie — to dziwne... Czemuż przeto kazał pan swojemu posłowi czekać na odpowiedź na list swój, który jest listem pożegnalnym?

— Ordynans mój musiał się przesłyszeć — usłyszała odpowiedź w słuchawce — gdyż ja nie kazałem mu wcale czekać na odpowiedź.

— W takim razie mógł pan wysłać ów list pocztą, co bardziej było na miejscu, bo przynajmniej obecność pańskiego wysłannika nie byłaby Lili przypomniała pana — rzuciła już na pół gniewnie pani Ewa.

— Mogłem... — padło niewyraźnie wypowiedziane słowo, jakby w alteracji.

— Tak, mógł pan — powiedziała z naciskiem Krupińska — mógł pan, a jednak nie zrobił pan tego, ale przysłał pan specjalnego posłańca i kazał mu pan czekać na odpowiedź, to właśnie najbardziej mnie zastanawia, bo o ile pana znam, a pochlebiam sobie, że znam pana od dziecka, nie mogłabym go nigdy posądzić o podobną niedelikatność i to w podobnej sprawie.

W słuchawce nikt nie odpowiedział, natomiast nastąpiły jakieś tarcia, trzaski i połączenie się przerwało. Pani Ewa spróbowała na nowo nawiązać kontakt, ale Warszawa oznajmiła, że rozmowa skończona, gdyż wywoływany numer nie odpowiada więcej. Krupińska usiadła ciężko na krześle, wspierając głowę na dłoniach i zamyśliła się nad co tylko przeprowadzoną rozmową. Świadomość czegoś niejasnego i niepojętego zaczynała ogarniać ją coraz bardziej. I coraz bardziej budziło się w jej umyśle podejrzenie, że jednak tym rozmówcą jej warszawskim nie mógł być pan Stadnicki. Znała go ona przecież tak dobrze, prawie od maleńkiego dziecka, bo nawet spokrewniona była ze Stadnickim i częstym tam bywała gościem, znała Jurka zawsze jako dżentelmena, który nawet wtedy, gdy wyrządza komu mimowolną czy konieczną przykrość, nie zapomina nigdy o dobrych formach towarzyskich, a tymczasem... Nie, tak nie mógł się zachować Stadnicki, właśnie Stadnicki... Każdego innego mogła o to posądzić, ale nie jego i to pomimo przykrości, jakiej nie oszczędzono mu z tymi jakimiś tam zaginionymi papierami, pomimo choroby i zerwania wszelkich stosunków z jej domem.

— Coś w tym musi się kryć, coś takiego, czego nie można chwilowo zgłębić. Ale co w tym wszystkim może się kryć? — myślała. — Jaka zagadka? Czyżby i tu odgrywał albo chciał odegrać rolę Borowicz?

To nazwisko, wypowiedziane półgłosem, wpadło w zgorączkowany umysł pani Ewy nagle, zupełnie nagle, chociaż przecież ona je wypowiedziała, a wypowiadając je — musiała wszakże o nim myśleć. I pod wpływem tego nazwiska zrodziły się prawie równocześnie nowe myśli.

— Borowicz — Borowicz? Kim jest ten człowiek? Dlaczego usiłuje opętać i mnie i moje dziecko? — myślała. — Czy on rzeczywiście spotykał się tam gdzieś na szerokim świecie ze Stasiem? A jeśli spotykał się, co jest bardzo prawdopodobnym, to jaką rolę w życiu tego nieszczęśliwego rozbitka odegrał?

Pani Ewa siedziała wciąż nieruchomo przy stoliku na korytarzu i rozmyślała nad tymi wszystkimi sprawami, tak niezwykłymi, które nagle dziać się zaczęły pewnego dnia około nich i ich dom. Takie to wszystko było niezwykłe, takie dziwne! I ktoby przypuścił, że takie historie są możliwe w Łodzi, w mieście tak wielkim, w środku kultury, w centrum państwa europejskiego i cywilizowanego? Że jacyś niezwykli prześladowcy, dla ukrytych celów, mogą grasować bezkarnie, choć działają jawnie i na oczach władz?

Powstała ciężko z miejsca z twardym postanowieniem wypowiedzenia walki tym wszystkim wrogom, którzy osaczyli jej dziecko i próbowali oderwać je od niej, sprowadzić na jej głowę, być może, nawet nieszczęście, zgotować mu los bynejmniej nie godny zazdrości.

— Liluś — rzekła matka, całując córkę w czoło — napisz zaraz odpowiedź Jurkowi, załącz mu list jego i zapytaj, co to wszystko ma znaczyć. Jeżeli wszystko to jest tylko czymś szatańskim wymysłem, Jurek przyjedzie i wtedy... wtedy zaczniemy wspólną walkę przeciwko prześladowcom, przeciwko temu tajemniczemu Borowiczowi, który nie wiedzieć skąd przybył i nie wiedzieć, jakie ma cele.

— Dobrze, mamo, dobrze — odpowiedziała Lila. — Jestem najmocniej przekonana, że Jurek nie mógł napisać podobnego listu, chociaż charakter pisma jest jego. Tu coś innego, coś dziwnego i niezrozumiałego dla nas kryć się musi.

XIV.

SALONOWA KONWERSACJA

Oleś Barlamp był synem zamożnego przemysłowca łódzkiego, robiącego, jak się to popularnie mawia w pobliskim Manchesterze — w trykotach. Po skończeniu szkoły średniej i wydziału ekonomii politycznej na uniwersytecie, stary pan Hieronim Barlamp miał nadzieję, że najmłodsza latorośl jego rodu stanie mu się wyręką w prowadzeniu przedsiębiorstwa i fabrykę podniesie, wytwórczość i zbyt towarów udoskonali, gdyż Oleś zdradzał w tym kierunku wprost nadzwyczajne zdolności.

Ciąg dalszy w nast. numerze.



Szczególną radość dla dzieci stanowią przedgwiazdkowe wystawy zabawek wielkich magazynów. Szkoda tylko, że szyba stoi na przeszkodzie!



Niedziela, dnia 19 grudnia 1937 r.

8.00 Audycja poranna 9.00 Transmisja nabożeństwa z kościoła parafialnego w Sierpcu 12.03 Poranek symfoniczny (z Poznania) 13.10 „Smocza jaskinia" — fragment z powieści „Straszny Dziadunio" M. Rodziewiczówny 13.30 Muzyka obiadowa (ze Lwowa) 14.00 I. audycja Wielkiego Konkursu Zimowego: „Przedstawiamy speakerów" 14.45 Audycja dla wsi 15.45 „Wszystkiego po trochu" — audycja dla dzieci 16.05 Koncert kameralny 17.00 Podwieczorek przy mikrofonie 19.00 Słuchowisko „Nicolo Paganini" St. Nadzina 19.50 Utwory Feliksa Nowowiejskiego — koncert z Torunia 21.15 „Kukułka Wileńska" 22.00 Recital śpiewaczy Lorenzo Conati 22.25 Jan Brahms: Sonata G-Dur op. 78.

Poniedziałek, dnia 20 grudnia 1937 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 „Od warsztatu do warsztatu: 15.45 Z pieśnią po kraju — (ze Lwowa) 16.15 Trio Salonowe Polskiego Radia 17.00 „Gigantyczny teleskop" — odczyt 17.15 Koncert chóru bułgarskiego „Gusła" 18.10 Duety i tercety fortepianowe (z płyt) 18.35 Audycja dla wsi 19.00 Audycja żołnierska 19.30 „Dyskutujmy: Matka i córka" 20.00 „Wiedeń stary i młody" — koncert rozrywkowy 22.00 „Arcydzieła muzyki symfonicznej" — V audycja.

Wtorek, dnia 21 grudnia 1937 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Sergiusz Rachmaninow: fragmenty z Suity na dwa fortepiany op. 17 (z płyt) 15.45 Radio w szkole — transmisja ze szkoły powszechnej 16.15 Koncert orkiestry dętej 17.15 Koncert kameralny w wyk. Warszawskiego Kwartetu 18.35 Audycja dla wsi 19.00 „Najpracowitszy pisarz" (J. Ignacy Kraszewski) — wieczór literacki 19.30 Polska twórczość chóralna — IV audycja 20.00 Koncert w wyk. Małej Orkiestry P.R. 21.15 Koncert symfoniczny ze Lwowa 22.15 Muzyka lekka (płyty).

Środa, dnia 22 grudnia 1937 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla dzieci „Przed gwiazdką" 15.45 „Napoleon Bonaparte" — pogadanka 16.00 „Uczmy się mówić" 16.15 Koncert popularny w wyk. orkiestry mandolinistów 17.00 Kampania wojenna Batorego — odczyt 17.15 Koncert solistów 17.50 Hygjena skóry — pogadanka 18.10 Chińskie motywy (płyty) 18.35 Audycja dla wsi 19.20 „U grobu Bacha" — reportaż z kościoła św. Jana w Lipsku 19.35 „Determinizm i logika trójwartościowa" — odczyt 20.00 Melodie filmowe (płyty) 21.00 Koncert chopinowski w wyk. Pawła Lewieckiego 21.45 „Piękno mowy polskiej" — kwadrans poezji 22.00 Koncert wieczorny.

Czwartek, dnia 23 grudnia 1937 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Śpiewajmy kolędy — audycja dla dzieci 11.40 Antonio Vivaldi: koncert skrzypcowy g-moll 15.45 Rozmowa muzyka z młodzieżą 16.15 Muzyka popularna 17.00 „Polska książka naukowa w roku ubiegłym" — pogadanka 17.15 Recital fortepianowy Henryka Sztompki 18.35 Audycja dla młodzieży wiejskiej 19.00 Teatr Wyobraźni: „Miłość i śmierć Barbary" 19.40 Manuel de Falla: Fragmenty ze suity baletowej 20.00 „Wiedeńskie walce" — operetka w 3 aktach 21.45 „Nowy akademik — Jan Lorentowicz" — szkic literacki 22.00 Koncert kameralny.

Piątek, dnia 24 grudnia 1937 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 „Ubieramy choinkę" — audycja dla dzieci 15.45 Kolędy — koncert z Łodzi 16.00 „Panajezusowa Kolęda" — słuchowisko regionalne 16.40 Suita kolędowa w wyk. Tria Salonowego (ze Lwowa) 17.00 „Adamowe" (dzień urodzin i imienin A. Mickiewicza) — słuchowisko 17.30 Boże Narodzenie w muzyce fortepianowej — koncert 18.00 Kolędowa opowieść 18.50 Koncert orkiestry P. R. 20.20 Przemówienie wigilijne Prymasa Polski ks. kardynała Hlonda 20.30 „Nasza choinka" — audycja ze Lwowa 21.15 Koncert w wyk. Małej Orkiestry P. R. 23.00 „U braci Słowian — po kolędzie" — audycja muzyczno-słowna 23.45 Pasterka z kościółka wiejskiego poprzedzona reportażem.

Sobota, dnia 25 grudnia 1937 r.

8.00 Audycja poranna 9.00 Koncert rozrywkowy w wykonaniu zespołu salonowego 10.15 Transmisja uroczystego nabożeństwa z Katedry Poznańskiej 12.03 Wesoła audycja dla dzieci (ze Lwowa) 12.30 Koncert orkiestry Adama Hermana 13.30 Humor w piosence i melodii (płyty) 14.30 „Boże Narodzenie w Korkożyszkach" — audycja z Wilna 15.00 Koncert 16.45 „Stała się rzecz wielce dziwna" — szopka staropolska 17.30 Muzyka taneczna 18.55 Audycja dla Polaków za granicą: „Wieczór pod choinką" 19.25 Koncert muzyki religijnej: Chór Kaplicy Sykstyńskiej i Beniamino Gigli. Transmisja z Watykanu 20.00 Koncert rozrywkowy 21.30 Z kolędą po świecie — reportaż 22.15 „Kalejdoskop" — audycja muzyczna 23.00 Muzyka taneczna (płyty).



W SZKOLE

Nauczyciel: — Kto z was wie, jak się nazywa człowiek, który ciągle mówi, nie zwracając uwagi na zainteresowanie słuchaczy?

Uczeń: — Nauczyciel!

SZCZEROŚĆ

— Powiedz, kochany, co zrobiłbyś, gdybym nie wyszła za ciebie.

— Ogłosiłbym upadłość.

PRAWDZIWE BOGACTWO

Ela: — Czy on jest bogaty?

Kitty: — Chyba! Znamy się już sześć miesięcy i dotychczas nie jest zrujnowany!

ZAGADKA

— Jaka jest najdziwniejsza część ciała ludzkiego?

— Nie wiem!

— Nos. Bo ma grzbiet z przodu.

MĘDYCYNA

Pan Stanisław dostał ataku ślepej kiszki. Wezwany lekarz stwierdził konieczność natychmiastowej operacji. Pan Stanisław nie chce się jednak zgodzić.

— Wolę umrzeć, niż poddać się operacji!

— Ależ, drogi panie — uspakaja go lekarz — przecież jedno z drugim można doskonale pogodzić!

UPRZEJMY WEZUWIUSZ

Pani Rowińska w towarzystwie swego małżonka wdrapuje się na Wezuwiusz.

Właśnie, gdy już byli w połowie drogi, wulkan zaczyna ziać ogniem.

— „Co za uprzejmość" — woła wzruszona podróżniczka.

ZGODNA RODZINA

— Słyszałem, że cała rodzina pana cierpi na zęby?

— A tak — nasz najmłodszy dostaje pierwsze ząbki. Zosia drugi, a żona trzecie.

W SZKOLE

Nauczycielka: — Wojtuś, co widzisz nad sobą w pogodny dzień?

Wojtuś: — Niebo, proszę pani.

Nauczycielka: — A jak deszcz pada?

Wojtuś: — Parasol.

TRYUMF NAUKI

— Panie doktorze! Co mam począć z moją bezsennością?

— Hm. Hm. Niech pani nie chodzi głodna spać. Zjeść niezbyt obfitą, ale posilną wieczerzę przed udaniem się na spoczynek.

— Dziwne. W zeszłym roku kazał mi pan doktór chodzić spać naczczo!

— Moja pani! Cóż się pani dziwi? Czy pani wie, jakie postępy zrobiła przez ten czas medycyna?

ZNA MĘŻCZYZN

— Cóż to miłostki twojej córki z panem Klapkiewiczem już się skończyły nareszcie? Chciałeś przecież wydziedziczyć ją, czy jej to powiedziałeś?

— Jej — nie, za to jemu.

ZOO

Mamusia zwiedza ogród ze swą sześcioletnią pociechą.

— Jureczku — pyta — czy chciałbyś tak pięknie śpiewać, jak te ptaszki?

— Ja wolałbym, mamusiu, wypuszczać wodę nosem jak słoń.

LEPIEJ OTWARCIE

— A teraz zagrajmy sobie w fanty na całusy.

— Przestarzałe, nie ma sensu!

— Dlaczego?

— Bo do całusa nie potrzeba żadnej gry.

ŻYCZENIE

— Powiedz, mężusiu, o czym marzysz, aby ci się spełniło na gwiazdkę?

— Żeby któryś z aniołków przyszył mi guziki do palta, te, które urwały mi się w październiku.



Karykatura mistrzowskiej angielskiej pary w jeździe figurowej, małż. Cliff.

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 1 złoty, kwartalnie 3,00 złote. Pod opaską i za granicą miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50, Nr. pojedyńczy 30 gr. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczenie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA I ADMINISTRACJA Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8 P. K. O. Nr. 207.393. — Telefon 32

Rękopisów niezamów. nie zwraca się.

Wystarczy adresować „MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— złotych 1/2 strony 225,— złotych i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 32 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 procent zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 procent. Ogłoszenia przyjmuje się najpóźniej 12-cie dni przed datą numeru.

UWAGI OGÓLNE: Administracja nie przyjmuje odpowiedzialności za termin ogłoszenia oraz za zgubę lub zniszczenie matryc i klisz. Zastrzeżenie miejsca obowiązuje Administrację tylko wówczas, gdy za takie zastrzeżenie zostanie zapłacona przewidziana w cenniku 50 proc. nadwyżka. — Omyłki, które zasadniczo nie zmieniają treści ogłoszenia, nie upoważniają do żądania zwrotu gotówki, ani też nie zobowiązują Administracji do bezpłatnego powtórzenia ogłoszenia. — Uzasadnione reklamacje będą uwzględniane o ile zostaną wniesione do dni 8-miu od daty ukazania się ogłoszenia, lub od daty otrzymania rachunku. Podwyżka cen ogłoszeń może nastąpić w każdym czasie i obowiązywać będzie również te ogłoszenia, które zostały zamówione poprzednio, a nie były z góry zapłacone. — Wydawnictwo zastrzega sobie prawo nie umieszczania całego ogłoszenia, wzgl. jego części bez podania powodów. Komunikatów bezpłatnych nie umieszcza się. — Zniżek nie udziela się. — ROZMIAR STRONY DRUKU: Wysokość 300 mm, szerokość 212 mm. — Podstawą obliczenia jest 1 milimetr, w jednym łamie. — Strona w tekście ma 3 łamy podwójne à 68 mm. Strona za tekstem ma 6 łamów à 31 mm.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Redaktor odpowiedz.: Mirania Galińska — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie

Pocztowe konto rozrachunkowe: Żnin nr. 1.